№ 34. Warszawa, dnia 9 (21) Sierpnia 1875 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Treść Numeru: O zasobie i jego znaczeniu w gospodarstwie społecznem, przez J. K. Gregorowicza. — Hernani, dramat w 5-u aktach W. Hugo, przełożył K Podwysocki (ciąg dalszy). — List szósty z Ameryki Północnej, Sygurda Wiśniowskiego. – Przegląd literacki. — Hans Chrystyan Andersen. — Obrazy na Wystawie Tow. Zach. Szt. Piękn. w Warszawie. — Gospodarstwo domowe. — W dodatku: Spowiedź nowicyuszki, przez panią E. Thuret, przekład z francuzkiego J. B.

O ZASOBIE I JEGO ZNACZENIU

w gospodarstwie społecznem.

PRZEZ

J. K. Gregorowicza.

(Prelekcya na dochód Osad Rolnych w d. 7 Marca 1875 r.)

Szanowni Słuchacze!

Zasób, którego ważność z poglądem na nasze potrzeby pragnąłbym bliżej rozwinąć, jest tem w gospodarstwie społecznem, czem rola w gospodarstwie wiejskiem. Rola chuda i wyjałowiona małym plonem darzy rolnika, zasób mały społeczny nie wielkie przynosi korzyści. Gdy jednak w roli pierwiastki czysto materyalne stanowią główne jej bogactwo, czy to z daru przyrody powstałe, czy złożone w niej zabiegiem rolnika, zasób społeczny jedynie składa się z wysiłku ludzi we wszystkich kierunkach jej działalności, spadającego z dziedzictwem z pokolenia na pokolenie.

Dziś rolnik bez odpowiedniego naukowego wykształcenia złym będzie gospodarzem, społeczność nie rządząca się zasadami przez naukę wskazanemi, z prac swych ekonomicznych nie odniesie odpowiedniej korzyści.

Mimo jednak tak wielkiej przysługi, nauka gospodarstwa społecznego nigdzie nie jest tak upowszechniona jak na to zasługuje. Przyczyny tego są różne, jak światło tak i ciemnota ma swoich zwolenników; jednym z ważniejszych powodów niedawne jej powstanie i nie wprowadzenie do wykładów w szkołach, choć nawet i w elementarnych mogłaby być z wielkim pożytkiem nauczaną.

Do nas przybywszy pod nazwą *Ekonomji politycznej*, już samym tytułem nie jasno rzecz określającym nie mogła obudzić wielkiego zajęcia.

Przytem jako społeczności obce mająca na celu, wyrosła z ich potrzeb i warunków do nich przywiązanych, w szczegółach była nie praktyczną.

W ostatniej dopiero ćwierci naszego wieku powstało jasne przekonanie, że jeżeli nauki ścisłe jak matematyka, fizyka lub chemija, nie mogą być francuzkiemi lub angielskiemi, tak znów gospodarstwo społeczne musi się specyalizować na narodowości i z teoryi ogółowych tworzyć szczegółowe, z uwzględnieniem warunków i potrzeb miejscowych. W ruchu w tym kierunku obudzonym i myśmy przyjęli udział: za przykładem innych myślicieli powstali u nas ekonomiści zaszczyt przynoszący całemu krajowi.

Upowszechnienie prac ich, zaprowadzenie wykładów odpowiednich w szkołach, niezmiernie zbawiennie oddziała na całą społeczność. Że to nastąpi, wątpić nie można; myśl trzeźwa rozszerza się, pragnienie nauki wzrasta, a rząd tak troskliwy o szerzenie światła, nie ma wątpliwości że naukę gospodarstwa społecznego z czasem w programie szkolnym pomieści.

Zasób jest jej główną treścią, z niego powstaje wszystko, wzmaga się, rozrasta, świat materyi, siły przyrody gnie pod swoją władzę, duch ludzki wydobywa z krępującej go cielesności, ocuca do czynności i postęp ogólny popycha ku coraz większym wyżynom, wbrew wątpiącym w jego byt i potęgę. Język nasz wyrobiony poważnym na rzeczy poglądem, posiada wyrazy dziwnie zgadzające się z zasadami przyjętemi przez naszych ekonomistów. Do tych należą: *zapas* — *zasób* — *bogactwo* i *mienie*.

Wprawdzie w zwyczajnem użyciu, wyobrażenia przywiązane do nich mieszają się z sobą i *zapas*, *zasobem* mianujemy a *bogactwo*, *mieniem*, ale w wykładzie naukowym różnice choćby najsubtelniejsze muszą być ściśle oznaczone, i pojęcie jasno utworzone czem każdy z tych wyrazów powstanie swoje usprawiedliwia. Jakoż *zapas* jest to zgromadzenie czegoś, jakby zapasem na zaspokojenie chwilowej spodziewanej w przyszłości potrzeby; — *zasób* to posiadanie czegoś za sobą a przysposobionego w dalszej lub bliższej przeszłości; — *bogactwo* to Boże dary, Boga dactwo czyli wszystko przez Boga stworzone i dane ludziom na ich użytek. *Mienie*, wreszcie oznacza to co człowiek ma, czego mu nikt bez gwałtu odebrać nie może, a więc jako owoc własnej pracy lub w spadku otrzymany, słusznie za *mienie* swoje uważa.

Zwierzęta niektóre na groźną porę zimy, posłuszne instynktowi, gromadzące żywność odpowiednią, robią *zapas*, to samo człowiek tym samym instynktem powodowany stara się o *zapas* na chwilę spodziewanego głodu. Ale czynności te prostego instynktu, zużyte nie pozostawiają żadnego śladu z pracy dla ich dokonania podjętej. Gdy minie pora głodu a obudzona natura do życia ułatwia jego utrzymanie, zwierz i człowiek instynktowi tylko posłuszny, żyje z dnia na dzień, stara się o pokarm gdy głodny, wypoczywa gdy syty, nie troszcząc się co będzie jutro lub pojutrze, aż go znów instynkt napędzi do starań o zapas pokarmu na czas niedostatku.

W takiem też instynktowem prowadzeniu życia, natura w niczem nie zmienia swojej dzikości, pozostaje groźną i straszną jak była w chwili swego powstania, zapas bogactwa jej utworzony rozprasza się i niknie, a zwierz i człowiek z łatwością przenosi się z miejsca na miejsce, bo wśród bogactwa przyrody nic za sobą nie posiadając, różnice między miejscowościami ocenia jedynie według środków ułatwiających jego wyżywienie. Ludy prowadzące dotąd koczujące życie, teoryę tę zapasu zupełnie usprawiedliwiają.

W granicach instynktem zakreślonych mieści się świat natury, siły w nim rozpostarte i rządzące nim, własności ciał wszelakie, wszystkie istoty żyjące, nawet człowiek w stanie pierwotnej swojej prostoty, z wrodzonemi mu zdolnościami i talentami.

Wśród tego świata, wnętrze ziemi, przepełnione kopalnemi skarbami; na powierzchni jej, życie organiczne jaśnieje w całej pełni; czynności sił natury nic nie tamuje, ale owe kopalne skarby leżą martwe, roślinność rozsadza skały, skały zsuwają się w doliny, doliny rosną w wyżyny, ulewy rwą, powodzie topią, morza wdzierają się w lądy, lądy tworzą nowe nasypy, burza, piorun, huragan szaleją niczem niepowstrzymane, a wszędzie panuje siła, słabszy ulega mocniejszemu, począwszy od źdźiebełka trawy aż do wspaniałych bababów puszcz amerykańskich, od wymoczka już tylko przez mikroskop widzianego, aż do olbrzymiego słonia zdumiewającego siłą i ogromem.

Światem tym natury włada tajemnicza jak on potęga; utrzymując go w ciągłym ruchu i jedności raz stworzonej, rozciągnęła granicę po za którą nic się nie wydobędzie, zawsze pozostanie w swym przyrodzonym stanie, tylko jeden człowiek w duchu swym nieśmiertelnym obdarzony myślą rozważającą, przebija ją i sięga nawet tam, zkąd przedwieczne słowo: stań się! wyrzeczonem zostało. Gdyby nie on, świat natury pozostałby do dziś dnia takim jakim wyszedł z ręki swego Stwórcy, przerażający dzikością, straszny siłami nim rządzącemi.

Wszystkie też zdobycze człowieka w nim dopełnione mieniem swojem mianuje, bo je posiadł wysiłkiem swej pracy i przez nią obrócił na swoją korzyść.

Mienia takiego świat zwierzęcy nie posiada, miewa tylko zapasy, gniazdo, norę i żywność na chwilową potrzebę, mienie posiada tylko człowiek, bo zapas tworzy instynkt, mienie myśl duszy rozumem obdarzonej. Z mienia wyrasta zasób, jako z czynności sięgającej w daleką przyszłość, do której instynkt wznieść się nie potrafi; w miarę więc wzrastania mienia podrasta i zasób użyteczności dla korzyści własnej i przyszłych pokoleń.

Praca to jednak pełna trudu i mozołu; zanim ludzkość przyszła do posiadania dzisiejszego mienia i zasobu, przeżyła tysiące wieków. Pierwsze ślady działalności myśli jej przedstawią nam kamień niegładzony, jako narzędzie pomocnicze w pierwszej przedsięwziętej pracy. Narzędzie to mimo swej prostoty stało się zasobem społecznym, nie wyrobem ale myślą z której powstało.

Po wiekach służby stanowiących epokę życia ludzkości, zjawia się dopiero kamień gładzony jako dowód postępu myśli, po nim następują wieki bronzu, następnie żelaza, od których rozpoczyna się dopiero czas historyczny czyli chwila powstawania zasobu społecznego, z cechami coraz widoczniejszej na przyszłość pamięci.

Oprócz tych pamiątek, zamkniętych dzisiaj w zbiorach archeologicznych, minione pokolenia ginące w pomroce czasu nic więcej po za sobą nie zostawiły! Jedyne to ślady ich bytu na ziemi, jedyne dowody że żyły, tocząc bój zawzięty z otaczającą je przyrodą, a jedynem ich schronieniem były groty i pieczary podziemne, w których nagromadzone kości i całe szkielety, świadczą, że mimo takiej prostoty życia z naturą zbratanego, ludzie owczasowi byli do nas podobnymi. Zasób zatem społeczny w dzisiejszym jego pojęciu był prawie żaden, nie należy jednak lekceważyć pokoleń przemawiających dziś do nas jedynie prochami swych kości. Gdyby nie ich pierwsze starania, nie bylibyśmy tem czem jesteśmy i nie mielibyśmy tego co posiadamy. Pierwszy rodzinny związek na wspólnej oparty miłości, druzgoczący przewagę siły, doprowadził do praw spajających całą ludzkość węzłem bliźniego braterstwa; z topora kamiennego doszliśmy do ostrza krającego żelazo; z kładki przerzuconej przez strumień do wiszących mostów zdumiewających swoją śmiałością; z pierwszej budy mieszkalnej do budynków olśniewających wspaniałością; z kija wreszcie wygięciem poruszającego grzędę, do pługa który tysięcy lat potrzebował zanim się zawił, a setek wieków zanim został doprowadzony do dzisiejszej doskonałości. Podobnie drogę długą i mozolną przechodziły wszystkie wynalazki i ulepszenia, wszystkie cnoty towarzyskie, zasady moralności, pojęcia obowiązku, uczucie własnej godności i skarby wiedzy dziś posiadane. Wszystko to stopniowo wykształcając się opierało się na poprzedniej pracy, z niej wyrastało, coraz więcej doskonaliło, czyli powstawało *z zasobu* przez przeszłe pokolenia przysporzonego. Praca wspiera pracę, z myśli nowa myśl wyłania się, pokolenie korzystające z czynności swoich ojców i dziadów musi równy spadek pozostawiać dla wnuków i prawnuków, bo zaniedbawszy tego obowiązku postęp wstrzymuje i pobyt swój na ziemi pozostawia bez śladu.

Gdybyśmy społeczność jaką, złożoną z ludu mało oddalonego jeszcze od natury, przenieśli gdzie na jaką bezludną wyspę i zupełnem odcięciem od wpływu prawdziwej cywilizacyi, zmusili do wyrabiania się samej w sobie, nie ma wątpliwości, że pomimo bogactwa otaczającej ją natury, upłynęłoby lat tysiące, zanimby doszła do stanu jakim się dziś cieszy cały świat ucywilizowany.

Pomijając już wynalazek abecadła, pisma i druku, pomijając zasady moralności z nauki ewangielicznej rozwinięte, samo powstanie różnorodnych fabryk i użycie sił natury do zastępstwa pracy ludzkiej, musiałoby poprzedzić poznanie własności ciał i sił bobactwo przyrodzone stanowiących; co już w niezmierzonym okresie czasu dałoby się zaledwie uskutecznić.

Tymczasem za dni naszych widzimy wśród dzikiej natury i niemniej dzikiej ludności, odwieczne pewne miejscowości ziemi zamieszkującej, z chwilą przybycia osadników z Europy, wznoszące się osady i miasta, powstające rolnictwo, fabryki, budujące się drogi bite i koleje żelazne, zaprzęgane siły natury do pracy pomocniczej, porty przepełnione statkami, słowem od razu zmieniające świat natury na świat czysto ludzki ze wszystkiemi cechami europejskiej cywilizacyi.

Przyczyną jedyną leniwego rozwoju pierwszej społeczności, a szybkiego rozkwitu drugiej, jest miara *zasobu* wyniesionego z przeszłej do nowej siedziby. Tam szczupła a więc skazująca na pracę już przez ludzkość przebytą, tu posiadana w całej pełni dokonanej zdobyczy, a więc idąca naprzód i korzystająca z owoców zebranych z przeszłości.

Zasobem zatem są to użyteczności wypracowane przez społeczność, a posiadane przez nią w postaci czy to produktów czysto materyalnych, czy skarbów wiedzą zdobytych, czy wreszcie w postaci moralności całą społeczność przenikającej.

O wielkości jego pod względem materyalnym, wydaje świadectwo stan rolnictwa i jego inwentarzy, rozwój przemysłu, handlu, rzemiosł i fabryk, stan komunikacyj lądowych i wodnych, pokarm ludności fizycznie pracującej, jej odzież i mieszkania, wreszcie możność korzystania z wygód więcej wyszukanych.

Zasób wiedzy przedstawia stan oświaty społecznej, począwszy od prostego wyrobnika, aż do ludzi najwyższych godności, rozwój handlu księgarskiego i wydawniczego, czytelnie, biblioteczki i biblioteki, muzea i zbiory handlowe, a najwięcej szkółki, szkoły i wyższe naukowe zakłady.

O zasobie moralności świadczy życie prywatne i publiczne, poczucie obowiązku, zamiłowanie pracy i porządku, szanowanie własności prywatnej i publicznej, umiarkowanie, gotowość do ofiary a nawet poświęcenia, pojęcie solidarności jednostek z ogółem, wreszcie czynności sądów karnych, stan więzień i działalność opinji publicznej.

Wszystkie te rodzaje zasobu jakkolwiek odrębnie przedstawione, stanowią jeden nierozdzielny, który tylko w harmonijnym związku składanych części rozwijając się, posługuje do urabiania tak ogólnie upragnionego postępu.

Zaniedbany w kierunku materyalnym, pozbawia społeczność głównych czynników potęgi materyalnej i robi ją sługą zasobu zamożniejszego, już samym tym przymiotnikiem wskazującego, że jako zamożniejszy, możny jest nad słabszym wziąść przewagę.

Zaniedbany w kierunku wiedzy, społeczność umysłowo zamiera, w niczem nie posuwa się naprzód, nic nowego nie tworzy i korzystając z dziedzictwa przeszłości, pozostaje na jednem stanowisku do jakiego doszły minione pokolenia.

Turcya, Chiny, Indye i inne ludy Wschodu najlepszym tego dowodem. Czem były przed wiekami tem pozostały do dziś dnia, bez żadnej prawie zmiany i zginą pod zalewem obcego zasobu.

Gdzie wiedza rozwija się w kierunku jedynie pożytku materyalnego, z pominięciem gruntowania i wzmagania moralności publicznej, tam społeczność cała rosnąc w mienie wpada na materyalistyczne bezdroża, żądza posiadania olbrzymieje, samolubstwo wzrasta, chęć używania bez pracy wzmaga się, podstępy, oszustwa, hazardy mnożą się, i powstają owe sławne krachy wiedeńskie w których zręczniejsi bezkarnie mniej zręcznych obdzierają.

W ascetycznem wreszcie uniesieniu ducha, każącem zapominać o wygodach ciała dla podnoszenia jedynie ducha ku Najwyższej Doskonałości, społeczność cofa się do pierwiastkowego swego bytu, i im więcej wyczerpuje zasób odziedziczony po przodkach, tym więcej zbliża się do stanu natury, do pierwiastkowej dzikości, z których wyjście i owładnięcie światem materyi, jedynem jest zadaniem człowieka.

Gdzie ciało cierpi, gdzie trud fizycznej pracy wyczerpuje siły, gdzie ziemia przykuwa niejako do siebie, tam duch wznowić się nie może i życie człowieka w całej jego godności nigdy się nie rozwinie. Wygody wyższe nie niszczą ciała i nie zabijają ducha, tylko ich nadużycie; wiedza nie obałamuca tylko jej niedostatek; moralność zaś jakkolwiek i ciało i rozum trzyma na wodzy i przez to rozwój życia ludzkiego utrzymuje w harmonijnym związku z jego wyższem przeznaczeniem, ale sama przez siebie ludzkość do niego nie doprowadza. Zasób z tej potrójnej pracy powstający, jest zasobem dopiero prawdziwie ludzkim, i taki a nie inny wysuwa społeczności jedne po nad drugiemi. Gdzie brak mu tej harmonji tak niezbędnej, tam zastój, upadek i zacofanie, jak się zwykle w potocznej mowie wyrażamy, czyli powrót do drogi z której cała ludzkość wyszła.

Na szczęście nie wpada ona nigdy w tę ostateczność w całej swej zbiorowości, tylko w cząstkach ją składających, zwanych społecznościami. Posłuszna woli wyższej, tu tylko i owdzie rozrywa związek bezkarnie nie mogący być starganym, a gdzie to staje się, tam społeczności rozważniejsze biorą przewagę nad mniej zasobnymi.

Jeżeli zatem *zasób* jest zbiorem użyteczności wypracowanych przy pomocy wiedzy, pracy i moralności, ztąd naturalny wypływa wniosek, że tworzy go jedynie wiedza zdobyta pracą, praca kierowana wiedzą i moralność koniecznie im przewodnicząca, a niszczy ciemnota, próżniactwo i pomiatanie cnotami społecznemi.

Jakoż wśród największego bogactwa przyrody spotkać można ludy żyjące w nędzy materyalnej i moralnej; i przeciwnie wśród skalistych i jałowych gór, wśród topieli morskich, cieszące się wielką pomyślnością. Pierwsze ubogie w zasób równym czynom dają życie; drugie zamożne w niego mogą wiele, bo są możne podjąć największe przedsiewzięcia.

To też rosnąc przy jego pomocy w coraz większą potęgę, zasobem wciskają się wszędzie, w próżniach przez zaniedbanie pozostałych robią coraz większe podboje, i wreszcie biorą stanowczą przewagę, bo jak w świecie natury słabszy ustępuje mocniejszemu, tak w świecie powstałym przez człowieka, szczupły zasób ugina się pod zamożniejszym. Jest to prawo któremu nic się oprzeć nie może, prawo przedwieczne zmuszające ludzi do pracy, do krzątania się i zabiegu, do wnikania w tajemnice przyrody i celów wyższych ludzkiego życia, prawo nieubłagane, nie cierpiące zastoju i bezwładności, prawo pod przemocą którego społeczności wspinając się jakby po drabinie wiodącej do postępu, słabsze usuwają, wyprzedzają, a zawadzające spychają druzgocząc bez powstania.

Im społeczność w większej liczbie zbiorowej swej ludności pracuje w kierunku wzmagania zasobu, tem śpieszniej do jego dochodzi potęgi; im dawniej rozpoczęła tę pracę wewnętrzną, tem trwalej gruntuje jego przewagę.

(d. c. n.)

HERNANI

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

W. HUGO.

Przełożył Klemens Podwysocki.

(Ciąg dalszy.)

SCENA III.

Ciż, Don Ruy Gomez de Silva, starzec siwy, ubrany czarno — pachołki z pochodniami.

DON RUY GOMEZ.

U mojej synowicy mężczyzni? Na nieba!
O tej porze? Wejść! Światła, rozgłosu tu trzeba!
(do dony Sol).
Święty Janie z Avila! Wszak my tu zebrani
We trzech; a przeto dwóch nas zanadto już, pani!
(do Hernaniego i don Karlosa)
A wy, kawalerowie? Wy, co tu robicie?
Gdy Cyd i Bernard snuli na tej ziemi życie,
Olbrzymy te Hiszpanji i świata, dokoła
Kastylji idąc, ze czcią nachylali czoła
Przed starcem, a niewiasty bronili. Granity
Ich ramion lżej dźwigały broń, niż aksamity
Wy dzisiaj. Tak! Czcił starość rycerz z licem sro-
[giem,
A z miłością szlachetną uklękał przed Bogiem;
I nie zdradzał nikogo. Dla czego? Bo tarczy
Rodowej czystość cenił. To za powód starczy.
Jeżeli chciał kobietę posiadać, bez sromu
W dzień biały brał ją śmiało, nie kradnąc nikomu—
Z mieczem w dłoni, rycersko. A zaś te bandyty
Miłośne, co to w ziemię wzrok trzymając wryty,
W mgły nocy owijając nikczemne swe zbrodnie,
Na honor kobiet naszych czyhają niegodnie,
Takich — ten, co Kastylji honor dał za godło,
Cyd, okiem starłby w niwecz, a ich tarczę podłą
Herbowną, za nic mając i ich samych razem,
Uderzyłby w nią gniewny szpady swojej płazem.
Tak, a nie inaczej — o, to rozpacz budzi,
Witaliby wczorajsi was, dzisiejszych ludzi!
—Po co wy tu jesteście? Powiedzieć mi chcecie,
Żem ja starzec, z którego śmiać się może dziecię?
Z żołnierza z pod Zamory najgrawać się śmiało?
Śmiać się, gdy wyjdę z domu z głową osiwiałą?
Śmiać się? Nie wy przynajmniej!

HERNANI.

Książę!

DON RUY GOMEZ.

Ani słowa!
Dla was wszystko!... Pancerze i zbroja stalowa,
Karuzele, sokoły, psiarnie, polowania,
Na pieśń waszą z balkonu piękność się wysłania,
Z atłasu macie suknie, pióropusz u czoła,
Bale, rozkosz, swawolę i radość dokoła;
I nudzicie się! Nic, was nie wstrzyma na świecie!
Potrzeba wam zabawki, więc starca bierzecie!
Druzgoczecie zabawkę!—Ale Boża łaska
Da, że w złomy pryskając, głowy wam roztrzaska!
Iść za mną!

HERNANI.

Mości Książę!

DON RUY GOMEZ.

Za mną! ha, panowie
A więc to na niewinnych żartach was tu łowię?
Jakto? Mam skarb u siebie ze skarbów jedyny—
Cześć dziewicy, więc honor jej całej rodziny!
Tę dziewicę ja kocham. Jest mi ulubioną
Synowicą, a wkrótce będzie moją żoną.
Mam ją za czystą, świętą dla wszystkich na świecie—
Lecz wyjeżdżam... Naddziady! co na to powiecie?
Ja, don Gomez de Silva, nie mogę wyjść z domu,
Bo wśliźnie się weń złodziej mej czci pokryjomu!
—Precz i ręce umyjcie, najczarniejsi z ludzi!
Jedno rąk tych dotknięcie kobiety nam brudzi!
— Lecz stójcie! Czyż mam jeszcze klejnot jaki
[drogi?!..
(zrywa naszyjnik).
Macie to runo złote. Rzućcie je pod nogi!
(ciska na ziemię kapelusz).
Te włosy białe rwijcie i splugawcie wreszcie!
I jutro się będziecie chlubili po mieście,
Że nigdy na wznioślejszem czole niż to oto,
Włosów bielszych łotr żaden nie skalał sromotą!

DONA SOL.

Panie!

DON RUY GOMEZ.

Giermkowie, do mnie! Skarać to wypada!
Mój miecz gdzie Toledański? Mój topor i szpada!
(do Hernaniego i don Karlosa).
Za mną oba!

DON KARLOS (występując naprzód)

Stój książę! ochłoń! niosę tobie,
Wieść o śmierci monarchy. Wiedz, iż spoczął w gro-
bie
Maksymiljan, najpierwszy z chrześcijańskich panów.
(zrzuca płaszcz i odsłania twarz ukrytą dotąd za kapeluszem).

DON RUY GOMEZ.

Czym ja we śnie?.. Na Boga! Król!

DONA SOL.

Król?!

HERNANI (z okiem zaiskrzonem).

Król Hiszpanów?!

DON KARLOS (wyniośle).

Tak. Don Karlos. Czyś książę opętany szałem?
Mój stryj, cesarz zmarł. Wieść tę smutną odebra-
[łem
Przed chwilą — i sam śpieszę, by z wiernym podda-
[nym
Podzielić się tym ciosem nagłym, niespodzianym —
I rad jego zasięgnąć *incognito*, nocą.
Rzecz prosta — i hałasu tyle, Bóg wie o co!

DON RUY GOMEZ.

Lecz dlaczego u drzwi mych czekać mi tu każą?

DON KARLOS.

Wybornie! Wszak przyszedłeś z całą twoją strażą;
Gdy tajemnica stanu tutaj mnie prowadzi,
Trzebaż było ją odkryć w obec twej czeladzi?

DON RUY GOMEZ.

Wybacz, królu, pozory....

DON KARLOS.

Poczciwcze mój szczery!
Zaufałem twym rządom zamek mój w Figuery
Komuż rządzić, na Boga, każę starym trzpiotem?

DON RUY GOMEZ.

Lecz, królu, przebacz.

DON KARLOS.

Dosyć! Nie mówmy już o tem!
Więc cesarz umarł.

DON RUY GOMEZ.

Okrył świat żałobą
Stryj twój Panie?

DON KARLOS.

Stroskanym widzisz mię przed sobą.

DON RUY GOMEZ.

Następcą....

DON KARLOS.

Jeden z Sasów zaleca swe prawa;
I Franciszek, król Francyi przy nim w szrankach
[stawa.

DON RUY GOMEZ.

Sejm wyborczy gdzie, królu, zwołanym zostanie?

DON KARLOS.

Mówią, że we Frankfurcie, albo w Akwisgranie,
Lub w Spirze.

DON RUY GOMEZ.

Król, którego nieba najłaskawsze
Nam chronią, czy nie myślał o cesarstwie?

DON KARLOS.

Zawsze.

DON RUY GOMEZ.

To jego jest spuścizna.

DON KARLOS.

Wiem.

DON RUY GOMEZ.

Naszego pana
Ojciec, był arcyksięciem cesarstwa. Stroskana
Austrya, wszak nie zapomni przed prawem niczyjem,
Że zmarły — Don Karlosa rodzonym był stryjem.

DON KARLOS.

A mieszczanin Gandawy?

DON RUY GOMEZ.

O, Boże litośny!
Widziałem tego pana w rozkwicie mej wiosny.
Wszyscy schodzą do grobu... jam wieku sierota...
Monarcha to był wielki, dusza szczero-złota!

DON KARLOS.

Rzym za mną!

DON RUY GOMEZ.

Pan waleczny — i w miarę surowy,
To istny typ germański — i z serca i z głowy.
(nachyla się do ręki królewskiej i całuje w nią)
Biedny pan mój! Na młodość tak ciężka żałoba!

DON KARLOS.

Rzymowi się jak widzę, Sycylija podoba.
Cesarz jej nie powinien posiadać. Więc oto—
Mam cesarstwo od Rzymu, bym, jak syn, z ochotą

Neapolu się wyrzekł. Dobrze, zgoda święta!
Złówmy orła! Któż potem wydrze nam orlęta?

DON RUY GOMEZ.

O, z jakąby radością ten weteran tronu
Widział, jak ci w koronie jego — pięknie!... Zgonu
Twojego stryja, królu, płaczmy teraz społem —
Bo on panów chrześciańskich był chlubą i czołem.

DON KARLOS.

Ojciec święty, polityk. Sycylia — pentelka...
U władztwa mego wisi po co? Ta niewielka
Wysepka, łachman zdarty na barkach olbrzyma—
Szmat, który się Hiszpanji, ot, zaledwo trzyma...
—I co poczniesz, mój synu, z wysepką tą brzydką,
Przyszytą do cesarstwa twego wątłą nitką?
Twe państwo — źle sklejone. Nożyce do ręki—
I odciąć ten szmat nędzny. Ojcze święty, dzięki!
Takich malutkich szmatków, nie pytając czyje,
Gdy mi szczęście posłuży, więcej jeszcze zszyję!
I gdy mi coś wypadkiem z cesarstwa odpadnie,
Takiemi wysepkami załatam je snadnie.

DON RUY GOMEZ.

Królestwo sprawiedliwych jest w górze. Tam, panie,
Każdy się z nas i świętszym i wspanialszym stanie.

DON KARLOS.

I ten Franciszek I-szy sięga zbyt wysoko!
Cesarz zaledwie umarł, już mu wpadło w oko
Cesarstwo. Czyż mu jeszcze Francyi zamało?
To kraj piękny, wart tego, by go dzierżyć z chwałą.
—Mój dziadek Ludwikowi powiadał siódmemu:
„Gdybym był Bogiem i miał dwóch synów, star- [szemu
Dałbym niebo, a młodszy miałby Francyą za się.

(do księcia)

Sądzisz, że plan Franciszka uskutecznić da się?

DON RUY GOMEZ.

To zwycięzca.

DON KARLOS.

Czyż prawnie ubiega się o to?
Cudzoziemiec wykluczon, wiesz, przez bullę złotą.

DON RUY GOMEZ.

Więc i króla Hiszpanów łowi bulla w matnię.

DON KARLOS.

Jam mieszczanin Gandawy.

DON RUY GOMEZ.

Zwycięztwo ostatnie
Króla Franków niezmierną otoczyło chwałą.

DON KARLOS.

Orzeł, co się wylęgnie w moim hełmie, śmiało—
Skrzydła wzbije ku słońcu.

DON RUY GOMEZ.

Miłościwy panie!
Znasz łacinę?

DON KARLOS.

Nie tęgo.

DON RUY GOMEZ.

I to w drodze stanie.
Szlachta w Niemczech w łacinie srodze zakochana.

DON KARLOS.

Poprzestanie, na mowie wyniosłej Hiszpana.
Gdy kto głośno przemawia, wierz Don Karlosowi,
Różnica mowy mało, lub nic nie stanowi.
Jadę do Flandryi. Muszę powrócić tu, książę,
Cesarzem. Król francuzki intrygi powiąże—
Poruszy wszystko. Pośpiech zaradzi tej biedzie!
Uprzedzę go — wyjeżdżam.

DON RUY GOMEZ.

Jakto? Król odjedzie,
A któż nas, bez twej rady, uwolnić tu zdoła
Od bandytów, co z gór tych grożą nam dokoła?

DON KARLOS.

Książę d'Arcos ma rozkaz wytępić ich przecie.

DON RUY GOMEZ.

Czy wodzowi ich, królu, także rozkażecie
Dać się złowić?

DON KARLOS.

Kto wódz ten? I jak się on zowie?

DON RUY GOMEZ.

Nie wiem, królu, lecz djabła ma w sercu i w gło- [wie.

DON KARLOS.

Wiem. W Galicyi się kryje— i muszkietów kilka
Milicyi naszej, łacno upolują wilka.

DON RUY GOMEZ.

A więc to fałsz, że wkrótce u bram naszych stanie?

DON KARLOS.

Fałsz. O nocleg was proszę.

DON RUY GOMEZ.

Najjaśniejszy panie!
Dzięki!

(do giermków).

Służby dla króla i gościa naszego.

(Giermkowie wchodzą z pochodniami, książe ustawia ich w dwa rzędy, aż do drzwi — Dona Sol zbliża się powoli do Hernaniego. Król uważa pilnie każde ich poruszenie i słowo).

DONA SOL.

Więc jutro o północy. Czujność mą ostrzegą
Trzy klaśnięcia.... pamiętasz?...

HERNANI.

Jutro!

DON KARLOS (n. s).

Jutro!... Zgoda!....

(głośno do Dony Sol, przystępując do niej z dworską etykietą).

Pozwól pani, że ramię Don Karlos jej poda.

(odprowadza ją do drzwi, Dona Sol wychodzi).

HERNANI (ściskając sztylet wiszący mu u piersi).

O, poczciwe żelazo!

DON KARLOS (wracając, na stronie).

Zmieszany i blady!

(odprowadza Hernaniego na stronę).

Zaszczyciłem cię panie, dotknięciem twej szpady.
Budzisz me podejrzenia — ale — idź — bo samą
Myślą zdrady, Don Karlos brzydzi się, jak plamą!
Ułatwię ci ucieczkę, zanim się spostrzegą.

DON RUY GOMEZ (wraca i wskazując Hernaniego).

Któż to, panie?

DON KARLOS.

Odjeżdża. To z orszaku mego.

(wychodzą z giermkami i pochodniami, książe poprzedza króla ze świecą w ręku).

SCENA IV.

HERNANI (sam).

Tak. Jam z twego orszaku. Tak. Zgadłeś bezwie- [dnie.
Krok w krok idę za tobą i w noce i we dnie...
Z okiem w ślad twój utkwionem, ze sztyletem w dłoni!.
Ród mój, we mnie skupiony, za twym rodem goni!
Co?... Ty moim rywalem?... Ha, na chwilkę małą,
Czy brać miłość, czy zemstę, serce się wahało...
Ona i Ty — dla niego, to było za wiele—
Zapomniałem o piekle, myśląc o aniele!
Chciałeś tego, Karlosie, sam przychodzisz oto—
Obudzić mię krwi wonią? Budzę się z ochotą!
Nienawiść przeważyła chwiejną dotąd szalę
Na swą stronę. Jam gotów — nie waham się wcale!
Tak. Sam rzekłeś, Karlosie, jam z orszaku twego!
Ci, co otwarcia ze snu, powiek twoich strzegą—
I cień twój całujące pany — nędzni owi,
Co ludźmi być przestali, by służyć królowi,
Ani pies, przyzuczony iść za twą osobą,
Nie wloką się tak wiernie, jako ja, za tobą!
Grandów, książąt kastylskich do ciebie przykuły,
Liche cacka błyszczące i marne tytuły!
Baran złoty, co pierś im ozdabia! Warjatem
Nie jestem. Ja poprzestać nie chcę, nie chcę na tem!
Dla mnie, tego za mało. O, mnie to nie wzrusza!
Mnie krew z żył twych potrzebna, z ciała twego du- [sza!
Oto wszystko, co ręka, słusznej zemsty chciwa,
Z piersi wroga naszego sztyletem wyrywa.
O, idź! Ja tuż za tobą! Zemsta, co mię słucha
Jak niewolnik, wciąż jedno szepce mi do ucha!
Idź—ja idę za tobą! Gdzie ty, tam ja jestem!
Tak — śledzę cię, lecz sam się nie zdradzę... szele- [stem!
We dnie, Kastylji królu, kędy zwrócisz głowę,
Obaczysz — w twą osobę utkwione surowe —
To oko... W noc, gdy ze snu ockniesz się, przy sobie
Źrenice me spostrzeżesz pałające — obie!

(Wychodzi małemi drzwiami)

(d. c. n).

LIST SZÓSTY

DALEKI ZACHÓD

w Ameryce północnej

PRZEZ

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

Rzucony między lud barbarzyńców, znany mi dotąd z opowieści tylko, w stek szaleńców pozbawionych wszystkiego co świat ucywilizowany poczytuje za niezbędny warunek prawdziwie człowieczego bytu — zmuszony do ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce, znękany wreszcie świeżo poniesioną a bolesną stratą, wróciłem do wybranego na przyszłą siedzibę ustronia, starszy na duchu o jaki lat dziesiątek.

Z Council Bluffs, miasta należącego do Stanu Jowy, udaliśmy się — jak pisałem — do Omaha, najludniejszego grodu w Nebrasce; żółtowoda Missuri dzieli te dwa miasta, w powierzchowności których nie znaczna zachodzi różnica.

Omaha nie jest rzeczywistą stolicą Nebraski, ale Lincoln, jako leżące bliżej zachodu a więc stanowiące środkowe ognisko, chociaż mniej ludne i handlowe.

Zanim jednak przystąpię do drobiazgowego opisu przygód doznanych na dalekim owym Zachodzie, zaznaczyć tu pragnę położenie geograficzne Stanów zaludnionych w przebiegu ostatnich lat kilku, bardzo obficie w stosunku do czasu owego. Czynię to zaś z przekonania, iż nie wielu Europejczyków, a szczególniej miłych mi zawsze rodaków moich, należyte mają pojęcie o wielkich pustych obszarach Ameryki północnej, zaludniających się z błyskawiczną nieledwie szybkością. Wszak za mych czasów pacholęcych mało kto zasłyszał o istnieniu miasta Chicago, jakie obecnie liczy przeszło pół miljona mieszkańców.

Stan Nebraska, długi a wązki pas gruntu, leży między 93° — 103 zach. dług. a 40° i 44° szer. pół. Stan zaś Jowy gęsto zaludniony przylega doń od wschodu; od południa St. Kansas; od północy wreszcie dzika, usiana mnóstwem niemniej dzikich plemion indyjskich prowincyja *Dakota*. Krainy górzyste, liczące mnóstwo kopalni zwane: Montana, Wyoning i Colorado, ułożonemi są po stronie zachodniej a dalej jeszcze, po za górami Skalistemi mieści się ziemia obiecana sławetnych Mormonów.

Wielka rzeka Platta, płynąca od zachodu na wschód a wpadająca do Missuri poniżej Omaha, dzieli Nebraskę na dwie, równe prawie połowy; wzdłuż zaś obu brzegów jej koryta ciągną się niezmierzone stepy, znane z opowieści Coopera, Aimarda i Reida ta wysławiona siedziba bawołów, Irojanów i Traperów.

Nebraskę jak i Kansas do niedawnego jeszcze czasu poczytywano za szczególniej ciekawe i godne zbadania miejscowości; wielu też pisarzów namawiać zwykło swych czytelników do obejrzenia własnemi oczyma tych najrozmaitszych cudów przyrody, chociaż prócz możliwej przyjemności podlegnięcia *zeskalpowaniu* nie było tam nic więcej do podziwiania i użycia.

Od chwili znalezienia złota w krainie kalifornijskiej, dolina Platty służyła za gościniec bandom wychodźców poszukujących ślizkiego szczęścia i udających się lądem do owej ziemi obiecanej amerykańskiego Eldorado. W podróży tak długiej zdarzały się często ponure tragedyje, jakichby może i sam Maine Reide wymyślić nie zdołał. Całkowite tabory ginąć tam miały niejednokrotnie, już z głodu, już od toporu Indyjan, a mnogie pokolenia Czerwonoskórych padały następnie ofiarą mściwości z jaką kopacze, myśliwi (traperzy) i żołnierze ścigali chciwych krwi europejskiej morderców. Rzec by można iż każda stopa ziemi wybrzeży Platty przesiąkła do gruntu krwią i potem biednych wędrowców, o każde drzewo odbił się płacz i narzekania padających ze znużenia, lub przekleństwa walczących.

Z chwilą połączenia koleją żelazną New-Yorku ze stolicą ziemicy mlekiem i miodem tryskającej, setki tysięcy przedsiębierczych rolników, przemysłowców i handlarzy w Nebrasce osiadło, mieszcząc się po obu stronach drogi szynowej.

Pracowników owych na nietkniętej od wieków niwie mianujemy tu jak wiecie *pionierami*. Niektórych do chlebodajnej krainy przynęciły widoki zysku, innych dążność do ciągłego posuwania się na zachód i zdobywania coraz nowych obszarów, tamtych znowu jak mnie np. zawiodła w dalekie strony żądza pustelniczego życia, choć co prawda, nie nadto wyosobnionego od wielkich ognisk rozpościerających ożywcze promienie handlu, przemysłu i wiedzy.

Usłużna *para* dostarcza nam wygód i wieści z całego świata, które choć przestarzałe czytają je przecie tubylcy, już nie jako szereg domysłów dziennikarskich, lecz jako sprawy spełnione i nie podlegające zwątpieniu. Umysł nasz wsiąka je w siebie pod postacią opowiadań dziejowych z dawno minionych stuleci, gdyż otoczenie uwalnia nas od zbyt żywego zajmowania się przedmiotami niezdolnymi wpłynąć na dolę naszą osobistą, jeśli tylko biedni barbarzyńcy, wyparci z rodzinnych stepów zachowują się spokojnie, nie psują dróg żelaznych i nie palą drewnianych siedzib kolonistów. Ostatniemi czasy nietylko dzicy Pauszee lecz i inne potężniejsze o wiele plemiona Indyjan przyjąwszy żołd od skarbu Rzeczpospolitej, rzadziej już puszczają się na mordy i pożogę.

Nie wiele jednak z tych szczepów stanęło na owym szczeblu ucywilizowania względnego na jaki postąpili Pauszee, chociaż i oni nie zaniedbują dotąd sposobności złodziejskich łowów i częstokroć drobne czynią psoty miejscowym osadnikom. Wielu jednak z nich czyta i pisze, sadzi kukurydzę; niewiasty ich zajmują się nietylko wyprawą skór bawolich lecz i przędzeniem oraz szyciem, wszyscy zaś uznali stanowczo iż dogodniej jest pobierać strawę codzienną z kawałka jakiego gruntu przy stałej pracy, aniżeli czerpać lichy i niepewny posiłek z wypraw bezustannych a tak nużących i niebezpiecznych.

Nie dawno jeszcze zdarzało im się głodzić przez dni kilka z rzędu, dziś jadają po trzykroć razy na dobę, nic zaś donioślej nie przemawia do wrodzonego ich rozsądku jak możność zaspokojenia głodu.

Minąwszy Omaha często już napotykasz Czerwono-skórych na dworcach kolejowych; jedni z nich proszą o datek, żaden bo z dzikich nie wstydzi się żebraniny; inni odbywają podróże bezpłatne, Towarzystwo bowiem dróg żelaznych wozi ich darmo, nie dozwalając tylko pomieszczenia się w karetach zajętych przez Europejczyków. Pakują ich zwykle do próżnych wozów towarowych i tam to ujrzeć możesz wychudłe smagławe ich postacie poowijane w brudne kołdrzyska czy płachty, i dźwigające rodzaj zawiniątka mieszczącego przeróżne gałgany i rupiecie.

Sama kolej zbudowana na prędce a prosto biegnąca jak strzała, ciągnie się w kierunku zachodnim wzdłuż okolicy obfitującej w kolonije i miasteczka o tuzinie domostw. Rodzinne moje drogi szynowe niezdolne nigdy dać pojęcia o tym szlaku wystającym nieco tylko nad poziom stepu, czarnoziem dobyty z głębi rowów wykopanych po obu stronach drogi posłużył za materyjał do jej wywyższenia.

Dębowe—nie podkłady lecz dyle—podtrzymujące szyny spoczywają tu bezpośrednio na glinie, a że nie wzmacnia ich zwir, często zapadają tworząc powierzchnię nie nadto gładką.

Dworce, powszechnie zbite z tarcic, niczem nie zalecają się jak czystemi jadalniami i smacznem w nich jadłem. Usługujące wdzięczne dziewczątka, zawsze schludnie a skromnie przybrane, ustawiają dania na stołach okrytych porcelaną i srebrem, ze zwinnością przewyższającą może wprawę posługi męzkiej Wiedeńczyków, a wyznać muszę iż przysmaczki amerykańskie podane białemi rączkami figlarnych tuziemek, trzykroć wyśmieniciej łechcą podniebienie—nie płaczę więc za stratą dolarka jaki składam w ofierze za dobry obiad przy wyjściu z jadalni. Zresztą apetyt mój jest, dzięki Bogu niezgorszy, zanim przeto złożę ofiary pieniężne raczę się obficie, jak to czynią wszyscy podróżujący.

W miasteczku Columbus wysiedliśmy z karów, otrzymawszy wspólne na nocleg łoże, wedle obrzydliwego zwyczaju Amerykanów, i udaliśmy się wprost do urzędu zwanego Agencyją indyjską, który czuwa nad czerwono-skóremi, służąc im za pośrednika i tłomacza w sprawach handlu zamiennego. Przez gospodarcze więc dłonie urzędników owych dochodzi zwykle dzikich żywność i inne przedmioty corocznie przez rząd wysyłane, w ich też obecności podpisują się wszelkie kupna czy sprzedaże między naczelnikami Indyjan a Europejczykami.

Prawo wyznaczające tych stróżów sprawiedliwości sprzyjającem jest w zasadzie dzikiemu ludowi a jednak jak każda ustawa ludzka, daje ono sposobność do tysiąca gorszących nadużyć.

W Nebrasce zaludnionej gęsto i położonej tak blisko władzyześrodkowanej, urzędnik mniej znaleść może sposobności do użycia na złe powierzonej mu siły prawnej; w dalszych jednak okolicach kraju, bez porównania łatwiej czynić mu to przyjdzie, szczególniej też przy nabywaniu od dzikich futer, skór wyprawnych i zasuszanego na słońcu mięsiwa.

Nieprawy stróż sprawiedliwości spogląda tedy obojętnym wzrokiem jak oszust kupiec wyłudza od Czerwono-skórych cenne towary za miarę lichej gorzałki.

W chacie urzędnika spotkaliśmy kilku Czerwonoskórych, już to siedzących na podłodze izby, już umawiających się o ceny towarów z białemi, a oświadczywszy mu cel podróży i chęć wybrania z pół tuzina młodych i krzepkich ludzi płci obu, których pokazywać by można za opłatą w Europie, otrzymaliśmy zapewnienie znalezienia między Pauszeeami wielu ochotników zdatnych do tego przedsięwzięcia.

W zebranych tu osobistościach, dwóch jedynie odpowiadać zdawało się wymaganiom naszem co do siły i odpowiedniego zdrowia.

Urzędnik jednak obawiał się dać im pozwolenie na podróż tak daleką bez zgody naczelnika plemienia. Na szczęście, w miasteczku owem znajdował się podówczas pewien znakomity wódz Pawnisów, który przed chwilą wyszedł był z urzędu dla odszukania kupca pragnącego wymieniać z nim muła za *kuca* indyjskiej rasy.

Wrócił jednak niedługo i handel odbył się według zwyczaju, w obec opiekuna dzikich. Naczelnik pokolenia widział już był muła pasącego się za miastem, kupiec zaś oglądał teraz bacznie maleńkie zwierzę uwiązane przy płocie, a że muł przewyższał wartością rodzinnego konia, książe indyjan dołożyć był zmuszonym pięć skór bawolich, za jedną z których zapłacono by ochotnie w mieście po 6 do 8 dolarów.

Po ukończeniu zamiany, wódz udał się po nowonabytego czworonoga, lecz, w mniej jak piętnaście minut, wrócił do izby stroskany, żądając od kupca dwa dolary dopłaty.

— A to za co? pytał biały.

— Moja szkapa ma ogon, kiedy muł *bladej twarzy* krótki tylko osmyk ze szczyptą zaledwie włosienia.

Kupiec udawać zaczął, iż mocno jest obrażony zarzutem tak niesprawiedliwym znając przebiegłość Indyan, my zaś pękaliśmy od śmiechu z indyjskiego sprytu.

Żaden jeszcze syn puszczy nie zawarł z białym umowy, bez starania się, po ostatecznej ugodzie, o wyłudzenie jakiegokolwiek dodatku w towarze lub pieniądzach.

Biali, znając to nawyknienie dzikich, nizkie zwykle przy zakupie dają ceny, aby, przy następnem spotkaniu, mieć czem zadowolnić natrętnego sprzedawcę. Handlarz więc, którego muł nie większej od konia był wartości, rzucił mu dolara, wiedząc że drogocenne skóry zabiera w czystym zysku.

Wódz nie rad był widocznie z zamierzonych odwiedzin jego wioski, lecz ponieważ zwiedzał on już raz Washintong, udając się do tej stolicy z deputacyą Pauszeeów, dla zaniesienia skargi do stóp *Wielkiego Ojca* (prezydenta) na byłego opiekuna czerwono-skórych, poznał więc nieco świat ucywilizowany, bez przykrości więc zgodził się wysłać współbraci między blade twarze!

Co zaś do skargi na urzędnika łotra, nadmienić tu wypada, iż głównym przeciw niemu zarzutem była mianowicie okoliczność wymierzania przezeń mąki szuflą garncową zamiast przeznaczonym na to garncem. Powiadano iż człowiek ów serce miał poczciwe i sprzyjał Indyanom, lecz za łagodnie obchodził się z nimi. Sam więc rzucił urząd niewdzięczny, bez grosza, a mimo tego znienawidzony od czerwono-skórych — taką to bywa częstokroć dola uczciwych ludzi!

Dzisiejszy stróż prawa ogromne zebrał sumy na oszustwie, a uwielbianym był przez dzikich głuptasów.

O czystem sumieniu jegomości nie wątpili ani przez chwilę, bo posiadał dar schlebiania biedakom.

Wspominając o tej osobistości wypada mi dodać że była ona potomkiem niemieckiej rodziny wychodźców, i mówiła nieźle kilkoma językami europejskie-

mi, znając przytem dokładnie główne narzecza Indyan koczujących na wschodnim stoku gór skalistych. Nie obcemi jej też były ich zwyczaje wraz z obyczajami, gdyż lata młodociane spędziła jako syn przybrany, u pewnej rodziny z plemienia Comanchów, którego mężczyzni celują męztwem, niewiasty zaś wdziękami ciała, nad wszystkiemi ludami o miedzianej cerze.

Pół-dziki ów opowiadał nam w streszczeniu dziwne swe przygody, jakie napotykały go przez ciąg pobytu w kółku owych ludzi nieokrzesanych — o polowaniach, obławach na blade twarze i walkach z własnemi nieprzyjaciołmi, w jakich uczestniczył był niegdyś. Mówił iż bój staczał z Modokami, Suami, Apaszami; często towarzyszył czerwono-skórym we wielkich napadach na daleki Meksyk.

Colorado, Awizonę, Nowy ów Meksyk i wszystkie kraje nam zaledwie z nazwy znane, a dziś dopiero zbadane nieco przez podróżników uczonych—on przebiegł wzdłuż i szerz. Słowem był to wierny typ bezmyślnego człowieka Zachodu, który puszcza się oślep na bezdroża wypadków jakie mu los nadarzy.

Syt koczowniczego żywota powołany został na posadę rządową, najpierwej jako przewodnik podróżujących białych, następnie zaś na urząd jaki zajmował obecnie, i bez skrupułu zbijał majątek odzierając dawnych ojców którzy go przytulili.

Dziwną też wydać się musi rzeczą, z jakiej przyczyny Pauszee jak i dalej ku południowi koczujący Comanche, nigdy a nigdy nie zwrócili oręża groźnego przeciw osadnikom pochodzenia angielskiego, kiedy częste staczali boje z Hiszpanami. Żaden obywatel Stanów Zjednoczonych nie zginął z ich ręki, jeśli nie we zwadzie karczemnej, a było to na rękę Anglo-Saksonom, gdyż gorzką władzcy owi mieliby do spełnienia czarę w razie buntu walecznych tych plemion, wojownik Comanchów zmoże jelenia w biegu a niedźwiedzia w ręcznych zapasach!

Niechęć wodza Pauszeeów do wpuszczania bladych twarzy w samo ognisko wioski koczującej, skłoniła stróża sprawiedliwości do pośredniczenia w trudnej owej sprawie, owocem zaś jego wdania się był układ z naczelnikiem, głoszący iż wypożyczy nam dwa kuce i uda się wraz z nami, do miasteczka Genui, leżącego tuż przy granicy, gdzie czekać mieliśmy powrotu jego z orszakiem kilkunastu wyborowych młodzieńców, z których moglibyśmy byli wydzielić dla siebie ilość potrzebną.

Na nieosiodłanych przeto, krnąbrnych a wychudzonych konikach wlekliśmy się do lichej mieściny rozmieszczonej wzdłuż brzegów sporego strumienia, jakiej dano szumną nazwę: Długiego Ruczaju (Long Creck), a że step miejscami zapalał się często po obu jego stronach, zmuszeni więc byliśmy do trzymania się w oddali, pod ciemną osłoną gajów biegających tuż po nad falą.

Lis stepowy, ptastwo i szakale zwane kojotami, a czasem elki umykające przed groźnym płomieniem, chroniły się w gęstwinę nie obawiając ludzi. Objaśnić was należy, mili czytelnicy, iż nader rzadko w suchej chyba jesieni bywa wypadek zajęcia się gąszczu przywodnego ogniem, bo wierzby i drzewo bawełniane, jakie zwykle na owych miejscach wzrastają, nie łatwo zajmą się gdy jeszcze zielone.

Wspomniawszy o krzaku bawełnianym obowiązanym jestem skreślić choć w krótkości jego postać i życie.

Otóż, roślinka o jakiej mowa, zwana: Cottonwoa, ani nie wydaje bawełny, ani kształtem nawet nie przywodzi na pamięć widza cennego krzewu z jakiego wyrabiają tkaniny.

Conttonwoa krzewi się tu w załamach rzek i strumieni, gdzie płomienie stepowe nie często zachodzą. Drzewko to sporem jest, korę posiada szorstką, pniak pogarbiony i gałęzie koślawe, a ilekroć je spostrzegam, staje mi przed oczyma obraz drzewa zwanego adamowem, jakie lud porównywa z gromadą czarownic strzegących wyklętego trupa.

Krzak ów służy jedynie na paliwo, i to nie najlepsze, oraz budulec, paczący się nader szybko; w krainie jednak gdzie wielki brak drzewa uczuwać się daje, mieszkańcy, radzi nie radzi, poprzestać muszą na tem co znajdują pod ręką. Bezprzymiotliwość taka, nie przeszkadza wcale jego wysławianiu i wielu znalazło się powieścio-pisarzy wygłaszających cudowności krzewu bawełnianego, a górnicy, wraz z Indyanami, lubią koczować w cieniu jego, na podobieństwo wsławionych niegdyś komitetów bezpieczeństwa, przeznaczonych ze strony rządu do utrzymania w tych stronach należytego porządku, które na gałęziach krzewiny owej miały zwyczaj wieszania przestępców.

Nie ulega przecie wątpliwości że i gaj z Cottonwoodu uledz może pożarowi i spłonąć do szczętu. Takie to właśnie pożarcie lasku płomieniami mieliśmy sposobność oglądać własnemi oczyma w Genui amerykańskiej—gromadce domostw złożonej z dwóch karczem, trzech sklepów, kuźni i mieszkania misyonarza należącego do sekty metodystów.

Jak my, tak Indyanie przybiegliśmy w samą porę, gdyż stepowy anioł zniszczenia pędził po tamtej stronie osady, bijąc ognistemi skrzydłami tak szybko, iż równał się biegowi cwałującego w przerażeniu rumaka; gaj cały spłonął, a obawiano się nawet iżby mordercze płomienie nie przesadziły wązkiej wstęgi fali i w śmiertelne swe ramiona nie schwyciły biednego miasteczka. Na pobliżki płat z oranej roli za osadą, znosiliśmy szybko towary i sprzęty, lecz ta praca nużąca, okazała się zbyteczną, bo wicher z przeciwnej nagle zaryczał strony i odpędził groźne płomienie od Genui.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

VIRCHOW.

Pierwotne ludy Europy.

Odczyty wydane przez spółkę księgarzy Warszawskich 1875 rok.

Autor, słynny lekarz i antropolog, niekoniecznie jest wielkim historykiem, tak że podane tu wiadomości właściwie nie zawierają nic nowego i nie dają nam nowych przydatnych dla nauki poglądów.

Zasługuje na uwagę to, co autor mówi we wstępie „O próżności i pysze uczucia plemiennego,“ prowadzących częstokroć do przesadnego wywyższania siebie i zbyt pogardliwego traktowania innych plemion i narodów. Zdarza się to i dziś jeszcze i to nie tylko u dzikich ludów — mówi autor, a że wiadomo iż nie należy on do zwolenników niemieckiego szowinizmu, godzi się więc przypuszczać że powyższe wyrazy stosuje do własnej, tak dziś dumnej i pysznej ojczyzny.

Przebiegając pokrótce rozmaite środki i nauki pomocnicze, któremi posługuje się etnografja, zwłaszcza względem ludów pierwotnych i przedhistorycznych, autor mówi słów kilka o znaczeniu lingwistyki, archeologii, paleontologii i przyrodniczej antropologii. Stwierdzając następnie znany ten fakt, że wszystkie ludy cywilizacyjne były przybyszami, autor zastanawia się nad pochodzeniem teraźniejszych i dawnych mieszkańców Europy. Lingwistyka (sama niemal wyłącznie) dowiodła, że plemiona celtyckie, grekoitalskie, niemieckie, słowiańskie i litewskie przyszły do Europy z Azyi, prawdopodobnie z wyżyn Hindukusza (indyjskiego Kaukazu) — ale kiedy i w jakim porządku, z pewnością niewiadomo. Dziś nawet najsłynniejsi lingwiści zupełnie zrzekają się zamiaru oznaczenia czasu i następstwa owych wędrówek; przyjęte było jednak dotąd, że pierwsza wędrówka musiała nastąpić mniej więcej na 3,000 lat przed Chrystusem i że następstwo plemion było mniej więcej takie, jak je dopiero co wymieniliśmy (nie takie, jak u Virchowa na str. 9, gdzie Greko-Italowie uważani są za wcześniejszych od Celtów przybyszów). Autor podaje tu kilka przykładów błędnych i jednostronnych wniosków, opartych na siedzibach niektórych plemion, które mogły zająć te siedziby później, w skutek odwrotnej emigracyi (jak np. Gallowie w Azyi i Niemcy w Siedmiogrodzie), lecz to co mówi o Litwinach (str. 11) zasługuje na zarzut z tego względu, że wielkie zbliżenie litewskiego języka do sanskrytu bynajmniej nie jest w sprzeczności z późniejszym przybyciem tego ludu do Europy; właśnie bowiem plemiona które najpóźniej oddzieliły się od wspólnego szczepu, a więc najdłużej przebywały razem z azyatyckiemi Aryami, którzy potem osiedli w Indyach, zachowały naturalnie w swej mowie najwięcej pokrewieństwa ze staro-indyjskim sanskrytem. Dla tego to właśnie języki celtyckie najmniej mają podobieństwa do sanskrytu, że plemiona celtyckie najpierwej oddzieliły się od pnia wspólnego i najwcześniej przybyły do Europy, wówczas gdy Indowie długo jeszcze potem rozwijali swój język; więcej już podobieństwa do sanskrytu okazują dyalekta greko-italskie, niemieckie i słowiańskie, ponieważ, jak przypuszczają, w takim właśnie porządku te plemiona do Europy emigrowały, czyli raczej odwrotnie, z tego stopniowania w powinowactwie lingwistyka w przybliżeniu wyprowadziła następstwo w czasie samych wędrówek.

Ludy aryjskie niewątpliwie zastały już w Europie innych mieszkańców, jak o tem świadczą wykopaliska i do dziś dnia żyjące resztki plemion, których język nie ma nic wspólnego z aryjskim, a mianowicie Baskowie i plemiona fińskie. Do tych plemion należy jeszcze dołączyć wspominane przez pisarzy starożytnych ludy Sykanów i Sykulów (w Sycylji), Liguryjczyków (których resztki zaludniają dziś jeszcze północno-zachodnie wybrzeża Włoch i wyspę Sardynią), wreszcie dawnych Retów i Etrusków, dziś już zaginionych.

Co się tyczy starożytnych Iberów, którzy weszli w skład narodu hiszpańskiego, niewątpliwie Baskowie są ostatnimi przedstawicielami tego plemienia w całej jego czystości.

Pochodzenie innych europejskich autochtonów, równie jak i ich wzajemny do siebie stosunek pozostają dotąd niewyjaśnione; co do Etrusków np. zwanych inaczej Tyrrenami (sami nazywali siebie Rasenas), których starożytni uważali za plemię semickie przybyłe z Azyi Mniejszej, uczeni stawiali różne hypotezy: uważali ich już to za plemię fińskie, już to nawet za aryjskie. Ta sama wątpliwość panuje względem samych Finnów, do których zaliczają dawnych Scytów, a stosunek plemienia fińskiego do szczepu mongoło-turańskiego nie został jeszcze wyjaśniony.

Takie i tym podobne kwestye zaprzątają jeszcze lingwistów; zajmują się niemi także i etnografowie i p. Virchow rzuca w swej pracy kilka uwag i przyczynków w tym przedmiocie. Tak mniema autor że nie ma żadnego powodu brać za jedno Ligurów z Iberami; dzisiejsze resztki tych plemion Sardyńczycy i Baskowie różnią się wielce budową ciała i czaszek; język przestaje tu już stanowić kryteryum możliwego porównania, gdyż wówczas gdy Baskowie

zachowali dawny język iberyjski, niepodobny do żadnego innego, Sardowie przyjęli mowę łacińską (włoską). Otóż Baskowie mają czaszki długie — należą do długogłowych (dolichocephalae), wówczas gdy Ligurowie mieli krótkie (brachycephalae) — takie same jakie dziś jeszcze mają Finnowie i Lapończycy.

Z drugiej znowu strony, pod względem budowy języka, Baskowie zbliżają się w tem do plemion fińskich, że mowa ich podobnie jak fińska, węgierska i t. d. jest aglutynacyjną czyli przystawkową. Wszelako na tych zasadach trudno jeszcze wnioskować o pokrewieństwie tych trzech szczepów, choć tu przemawia za tem budowa czaszki, owdzie — podobieństwo języka.

Słusznie zwraca uwagę autor, jak wielkim jest błędem opierać się w etnografii na nazwach ludów, najczęściej bowiem historyczne i geograficzne ich nazwy zupełnie są obce samym ludom. Etruskowie nazywali siebie Rasenas, Baskowie dziś jeszcze nadają sobie miano Euskaldun, Finnowie nazywają siebie Suome, Lapończycy — Sami, Estowie — Rahwas. Podobnież np. Grecy nigdy nie nazywali siebie tem imieniem, a miano Wendów, nadawane niektórym plemionom słowiańskim, nie było im nigdy znanem.

(*d. n*).

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.
W WARSZAWIE.

Sielanka z Podlasia nad Bugiem — A. Piotrowskiego.

Otóż i druga rozkochana para; lecz, jak to mówią, co kraj — to obyczaj. Miłość panicza a Jontka, to dwie odwrotne strony medalu.

Jasio konie poił, Kasia wodę brała,
Jaś sobie zaśpiewał, Kasia zapłakała.

Tak brzmi zdaleka nuta wiejskiej piosenki. Tym razem przypuszczenia wielce nas zawodzą. Ani pojenie wody, ani pojenie się łzami nie ma tu wcale miejsca. Jaś — to porządny chłopiec, więc się z łez nie śmieje.

Na małej łączce pod ciemnym lasem, Jaś grabił sobie siano, nucąc: „Dana! dana!" a zebrawszy je w kopki, powracał drużką do domu. W tem:

Idzie sobie Kasia, dzbanek jagód niesie,
Aż ci tu jej rusałka zastąpiła w lesie.

A!... to już druga nieznośna omyłka! Więc Kasia niesie garnuszek poziomek, uszczknęła także kilka modrych dzwonków. Jasio, skoro ją zoczył, wziął grabie na ramię, i idą sobie gwarząc, przez mostek na rzece. O czem?... z wyrazu twarzy tak się domyślamy.

Jasiek jakoś nam nie rad!... smutnemi oczyma spogląda na Kasieńkę, żałośnie pytając: „Kasieńko złota! jakże z nami będzie?" Ona patrzy nań tęsknie, podjęła fartuszek, niby niechcący, ale dłoń dziewczęcia ciśnie razem serduszko, co jednako puka w piersiach wieśniaczki i choćby jasnej panienki.

Jasiek tedy, czekając, objął swą Kasieńkę, sam prawie o tem nie wiedząc. Trudna odpowiedź! Kasia się zaklina ale.... co powie tatuś i matula? Jasnowłosy chłopczyna coś wątły do pracy, jeszcze za młody i... pewno biedota! Koszula na nim gruba, rzemykiem ujęta, odzież prosta, i proste chodaczki na nogach! a Kasia — to bogaczka! Rozpuszczone włosy zdobi czerwona wstęga i biały kwiatuszek. Koszulka jak śnieg biała, fartuch czerwieniuśki, i spódniczka barwistą tasiemką oszyta. A te u niej korale, toć duże jak grochy! Musi tatuś mieć w skrzynce nie mało groszaków! Będzież tobie Jasieńku!

Niechże sobie gwarzą! Słyszą ich tylko leśne rozhowory, trawy i ta lilija co na wodzie rośnie.

Woda jest, ale powietrza w obrazku nie ma; liście na drzewach rozwikłać się nie mogą, nóżki Kasi cokolwiek zanadto zgrubiały. W postawie dwojga troszkę deklamacyi. Przedmiot sam, pociąga nas urokiem swojskości.

Amor i Psyche — H. Stefańskiego. Dążymy nagle w górne sfery bogów. Ich widma dziś wskrzeszone na Italskiej ziemi, szybują wśród ciemnych chmur letniego nieba.

Jest to zapewne chwila, gdy wdzięczny syn Marsa i Wenery, przebaczywszy małżonce doznaną obrazę, darzy ją zwrotem straconej miłości. Spojrzenia jego, teraz czulsze jeszcze, patrzą w źrenice ku sobie wzniesione; uśmiech mu zdobi wpół otwarte usta. Jednem ramieniem objął ukochaną, drugie owiewa rozchwiana zasłona. Skrzydła się mienią tęczowemi barwy, u boku błyszczy złoty łuk bez strzały.

Psyche zawisła u szyi małżonka. Motyle skrzydła chyżo się trzepoczą, zwoje purpury bujają wiatrami, szata... ach! ta nieszczęsna, przejrzysta tuniczka! Czemuż tak krótka i ostro przycięta? Pomimo całej przejrzystości tkanki staje się ciężką i konwencyonalną.

Mówiąc szczerze, wrażenia nasze nie szczególne.

Nie są to jaśni Olympu mieszkańcy!... Wzory ich wzrosły gdzieś nad brzegiem Tybru. Karnacya tak gorąca i kwitnąca zdrowiem; lot cokolwiek leniwy, prawa noga Amora, lubo w tył cofnięta, zda się, radaby spocząć już na stałym lądzie, równie jak ręka Psychy znużyła się nieco; w jej rozłożonych palcach widać wysilenie. Słońca, powietrza pragną tak że niebios gońce. Ulecieli!

Jeśliśmy zasłużyli na zarzut nieuctwa, przyjmiemy go z pokorą. Są to wrażenia. Sztuka pozostaje — sztuką.

Charcik — tegoż artysty, jestto ładny psina. Pewny siebie przystanął gdzie się podobało, depcząc po zbyt ufnego pana rękawiczkach. Wszystko mu wolno. Zwyczajnie pieszczoch pański!

Utwory pana F. Kostrzewskiego, znikły ze ścian Wystawy; z nowszych jest tylko jeden, malowany akwarellą.

Obraz to obowiązku i świętej miłości. Obowiązek walczy tu z burzą, miłość ją święta przemaga.

Szalony wicher miecie pyłu tumany, gnie z trzaskiem smukłe topole nad szczytem starego krzyża. Wszystko co żyje skryło się pod dachem. Pomimo to z kościołka wyszedł proboszcz wiejski, śpieszący z wiatykiem do chorego. Wiatr nim gwałtowny szamocze, pcha wstecz rwąc poły szarego płaszcza. Ha!... trudno!... Ktoby tam zważał na takie drobnostki gdy chodzi o rzecz ważniejszą! Kędyś jest dusza tęskna i łaknąca. Starzec pochylił głowę, przytrzymując skarb sobie powierzony. Przy nim bieży w komeszce niewielki chłopczyna, z kropielnicą, kropidłem i księgą w dodatku. Dzwonek na teraz milczy, bo pustka na drodze.

Idą... nowa przeszkoda! Zachodzą nad rzekę... nie ma kładki! a więc po głazach przebyć ją trzeba. Sztuka to nie trudna gdyby nie wicher. Niechże proboszcza obali?... Chłopczyna niespokojnie spogląda ku rzeczce. Może się proboszcz wróci?... Daremne żądanie! Dobry pasterz zwycięży nawet wichry i burze, wiodąc błędną owieczkę przez zdrój wiekuisty.

Obie postacie nie idealne: proste — ale poczciwe. Obrazek sympatyczny; nasz własny — bez zaprzeczenia.

Ach, któż to?.. ta prześliczna i miła osóbka, co tak spokojnie w światek swych dumań spogląda? Mógłby nam odpowiedzieć tylko pan Dylczyński, jeśli z wzoru malował swój obraz: *Pamiątki.* Sam tytuł już wymowny. Patrzymy. Przed nami sina dal... błysk nagły przecina chmury... w duszy wstają uczucia żalu i tęsknoty. Któż nie ma wspomnień?... pamiętamy wszyscy. Chyżo ulata czas, nikną bijące godziny... ktoś nam zachodzi w pomrokę lat, ktoś zapadł w głębię mogiły. Uszli nam ci, rzucili owi, inni musieli odbiedz daleko... zostały tylko pamiątki. Jakże miło dobywać te święte zabytki! Promień włosów, liść zeschły lub kartka zbutwiała, to relikwie najdroższe serdecznej pamięci. Trzymamy je nareszcie!... Myśl wraca zwolna w pobieżne drogi... Pusto! Znikli wędrowce! Ręka zadrżała boleśnie, kwiatek wysuwa się z dłoni... na liść spływają—łzy.

Ale nie wszyscy przecież lubią te czułostki. Pan Dylczyński przedstawia rzecz tę mniej łzawo; chłodniej jakoś. Widzimy piękną pannę.... ale co piękna to piękna! Wieniec jasnych warkoczy otacza jej czoło; loki, zwite misternie, spadły na ramiona; lica lilijowe, usta różane, oczy i brewki czarne jak noc. A jaki owal twarzy! jak główka ta świetnieje na ciemnym tle! Nic równego! Toaleta, pod względem smaku, nienaganna. Czarna suknia i czarny kaftan aksamitny; na jaśniejszej tunice znów czarna kokardka, z fantazyjnie odrzuconym koniuszczkiem; fryzka i mankieciki śnieżyste. O wszystkiem pamiętano.

Piękna panna ujęła piękną szkatułeczkę, otworzyła ją małym kluczykiem. W szkatułce—same pamiątki: listy, liściki, listeczki; koralowy naszyjnik wypadł do połowy. Wydobyto medalijon i błękitną kartkę. Jakaż treść.

Piękna panna usiadła przy pięknym stoliku, zsunęła zeń niechcący pąsowe nakrycie; a na cóżby zasłaniać rzeźby i pozłotę!

Liścik już przeczytany... medalionik w ręku. Cisza... Nikt nie przerwie. Portyera spuszczona. Można dumać. Duma się! Oczy patrzą wprost przed siebie, lecz myśliż o czem ona? Dumanie łagodne. Nie ma tam w sercu trawiących bólów dawnych. W koło widać dostatek, spokój i wygodę. Pamiątki nie obudzą smutnego wspomnienia. Jej ścieżka— to aleja cienistego parku: zwir — zamiast ciernia. Na co jej żale? Piękną pannę z pewnością dobrze nauczono, że kontenans jest wszystkiem. Te wyskoki serca powściągać trzeba. Oku nie wolno być zwierciadłem duszy! a więc o tem pamięta, nawet..... w obec pamiątek! Nie muszą być dawne. List od krewnej, lub.... kogoś. U wód zagranicznych znajomość łatwa. „Czy on też pamięta? Gdyby".... Ujęła batystową chusteczkę... będą łzy! Ej, nie! ona nie cierpi, pamięta tylko!

Jeśli się odważamy na styl lekkiej ironji, nie ubliżamy przeto artyście. Utwór jego ma wielkie niezaprzeczone zalety. Rysunek poprawny, układ estetyczny, praca rzetelna. Można sumiennie wyrzec: „Piękny!" My sądzimy go tylko ze strony uczucia.

W każdym utworze bije tętno żywej myśli, która jest duchem znikomego ciała; duch ten — to siła, prawda i lotność pomysłu, gra uczuć, podchwyconych w najgłębszych tajnikach. Malarz jest jednocześnie poetą i psychologiem. Dla tego, mimo zalet, obraz wzmiankowany wygląda raczej na portret. Twarz przedstawionej na nim osoby, idealna pod względem linji, martwą jest co do wyrazu. Pod tą białą powłoką nie ma krwi. Wrażenie się zaciera. Szukaliśmy kobiety z sercem, znajdujemy natomiast pannę

salonową: smutna nazwa w tym bożym bojującym świecie!... Jest jeszcze inna... miano kobiety—człowieka. Z tem wszystkiem — powtarzamy: obraz piękny!.

Hans Chrystyan Andersen,

poeta i powieściopisarz duński,

(ur. 2 kwietnia 1805 r., † 4 sierpnia 1875 r.)

przez J. Belejowska.

Dnia 4 b. m. Danija straciła jednego z najznakomitszych swoich poetów i powieściopisarzy. Hans Chrystyan Andersen przeniósł się do wieczności w siedmdziesiątym roku życia. Czytelnicy pamiętają zapewne że w dniu 2 kwietnia r. b. cała Danija obchodziła uroczyście 50 letni jubileusz jego literackiego zawodu, oddając tym sposobem cześć jego zasłudze i niezmordowanej pracy.

Hans Chrystyan Andersen urodził się w Odensee, stolicy Fionji d. 2 kwietnia 1805 r. Rodzina jego była szlachecka i niegdyś bardzo zamożna, lecz smutną koleją losów przyszła do zupełnego upadku, i wraz z majątkiem straciła i zajmowane niegdyś stanowisko. Daremnie ojciec Hansa walczył z losem i nędzą, aby przebojem dostać się do jakiegoś zawodu zapewniającego mu lepszą przyszłość; przed biednym i bez protekcyi młodzieńcem zamykały się wszelkie mogące do niej doprowadzić drogi. Zrozpaczony, wyrzekł się wszelkich świetnych nadziei i wyuczył się szewctwa, które przynajmniej zabezpieczyło go od głodu i ostatecznej nędzy.

Zapomniał o dawnej świetności swego rodu, nie myślał już o żadnem odpowiedniejszem urodzeniu swemu stanowisku, ale nie zaparł się serca i to dopomniało się o swoje prawa. Poznał i pokochał ładną i pracowitą ale równie jak on ubogą dziewczynę, kochany wzajemnie, oświadczył się i ożenił, ani myśląc o tem że im brakować będzie na najpierwsze życia potrzeby, że bieda może zaniedść się w nędzę.

Pobrawszy się, zamieszkali w nizkiej i ciasnej izdebce, a i w tej nie było co postawić. Zdobyli się na łóżko, garść siana służyła za pościel, ale nie było kotary która według odwiecznie przyjętego w Danii zwyczaju, osłaniać winna tak wspaniałe łoże bogacza, jak i najbiedniejszy tapczan nędzarza. Przypadek zrządził że wtedy właśnie sprzedawano na licytacyi bogate czarne draperye, zdobiące katafalk jakiegoś bogacza; widać przesąd czy wstręt odstraszał nabywców, gdyż sprzedano je za tak niesłychanie nizką cenę, że biedny rzemieślnik mógł je kupić na kotary do małżeńskiego łoża. Następnie pod ich cieniem przyszedł na świat przyszły wieszcz Danii.

Pomimo ciężkiej pracy, zarobek ojca przynosił tak mało że zaledwie wystarczał na kęs czarnego chleba i głód często dawał się we znaki. Prócz tego kochających rodziców trapiła myśl straszna: że jedynemu dziecięciu żadnej nie mogą zapewnić przyszłości. Gdy podrósł trochę, zaczęto go posełać do fabryki a wieczorem zmęczony musiał chodzić do szkoły gdzie uczył się czytać, pisać i rachować—o wyższej nauce biedacy i marzyć nie mogli.

Młody Hans żywy, bystry, pojętny i żądny wiedzy, pojął prędko że jeźli chce zaznać lepszą przyszłość na siebie tylko liczyć musi. Zkąd mógł i jakich mógł zadobywał książek i czytał je chciwie; raz wpadły mu w ręce żywoty sławnych ludzi, całą noc czytał z największem zajęciem i postanowił iść ich wzorem. Nie zbrakło mu wytrwałości i odwagi do urzeczywistnienia swoich postanowień.

Do pracy ręcznej czuł wstręt niepohamowany; oddawany na naukę do kilku z kolei rzemiosł, nigdzie nie wytrwał dłużej nad parę miesięcy. Ojciec jego umarł młodo, i dziesięcioletni Andersen został pod opieką matki. · Cios ten utwierdził go jeszcze w powziętem postanowieniu aby na innej drodze szukać środków utrzymania. Już w 12 roku życia zasłynął w rodzinnem mieście wierszami, które z łatwością składał, przytem miał głos bardzo piękny, umyślił więc sobie korzystać z tego i wystąpić na scenę. Matka opierała się długo, jednak Hans nie odstępował od swego zamiaru i w tym celu odmawiał sobie wszystkiego; nie raz morzył się głodem byle składać grosz do grosza na podróż do stolicy. Po paru latach, za pracę swoją, śpiew i deklamacyę uzbierał około 13 ryksdallerów — zdawało mu się że tak wielka suma (nie całe 9 rs), wystarczy mu na drogę i na utrzymanie w stolicy i postanowił niezłomnie zamiar swój doprowadzić do skutku. Pokonana wytrwałością syna, matka dotąd przeciwna podróży, dała się przebłagać, tylko przed wybraniem się w drogę poleciła udać się do wróżki. Wiara w wróżki, w uroki i duchy, dotąd jest nadzwyczaj rozpowszechniona w Danji, i przesądy te pewnie nie prędko wykorzenić się dadzą.

Hans drżący i blady, wlepił oczy w Sybillę, która przyszłość zwiastować mu miała. Ona także długo wpatrywała się w niego, długo przyglądała się ręce, nareszcie wyrzekła poważnym, jakby natchnionym głosem: „Rodzinne miasto Odensee wyprawi kiedyś świetną iluminacyę na cześć Andersena.“

Tak świetna przepowiednia uspokoiła obawę kochającej matki i młody Andersen puścił się w drogę, przekonany że z łatwością zdobędzie bogactwo i sławę. Dochodząc do Kopenhagi padł na kolana, ze łzami błagając Boga aby mu błogosławił na tej nowej życia drodze.

Niedoświadczony i nie znający wartości pieniędzy, prędko bardzo wydał cały swój zapas i został bez grosza. Niezwłocznie udał się do dyrektora teatru ofiarując mu swoje usługi, ten zmierzył go oczyma i odprawił mówiąc: „jesteś za chudy.“ Głodem zmuszony, biedny chłopiec wszedł jako uczeń do krawca, lecz nie długo pozostał, gdyż mając wciąż na myśli słowa wróżki, pragnął koniecznie dobić się sławy.

Udał się do znakomitego profesora muzyki i śpiewu, gdzie przyjęty, zastał tam kilka znakomitości, które zachwycone pięknym i dźwięcznym jego głosem, przyrzekły swoją pomoc i protekcyę. Niebawem zebrano składkę mającą wystarczyć na pierwsze potrzeby, i Andersen zaczął pracować pilnie. Ten nadmiar pracy spowodował chorobę piersiową, po której zupełnie głos stracił. Znowu więc świetne nadzieje jego jak mgła się rozwiały.

(d. c. n.)

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Użyteczność amonijaku w gospodarstwie domowem.

Amoniak jest substancyją bardzo tanią, a nader użyteczną w gospodarstwie. Wywabia wszelkie tłuste plamy i odczyszcza doskonale kołnierze u sukni mężkich, i wszelkie czarne czysto wełniane materye którym także przywraca piękną czarność. (Bawełniane, zwilżone amonijią rudzieją.)

Na lustrach i szybach zmywają się bardzo łatwo plamy i pstry gałgankiem zwilżonym amoniakiem. Olejno malowane drzwi i ramy od okien, oczyszczają się prędko i pięknie, bez użycia szczotki psującej zawsze malowanie, jeżeli pocierać je będziemy lekko kawałkiem flaneli umoczonej w ciepłej wodzie z mydłem, do której dodano małą ilość amonijaku.

Ponieważ zaś amonijak jest najważniejszem źródłem dostarczającem roślinom azotu, pierwiastku w ich wegetacyi nadzwyczaj ważnego, więc kwiaty tak w doniczkach jak w gruncie, polewane raz na tydzień wodą z amonijakiem, są silne i utrzymują się bardzo pięknie. Do kwarty wody dodaje się 7 lub 8 kropli amonijaku.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. *Ubranie dla dziewczynki.* Sukienka biała pikowa; tunika fartuszkowa i przybranie z perkalu białego w czerwoną kratę. Tunika wycięta w zęby, zakończona jest białą plisą objętą czerwoną wypustką. U dołu białej pikowej spódniczki, dana jest skośna plisa z perkalu w czerwoną kratę, objęta takąż wypustką i oszyta z obu stron białą, w zęby wyciętą falbanką. Rękawy białe, przybrane szeroką klapą, zakończoną w ząb i zapiętą na guzik, ogarnirowaną jak biała spódniczka. Szarfa i kokarda z czerwonej wstążki; na szyi dwa sznury korali. Kapelusz słomkowy podszyty i przybrany czerwoną wstążką.

Fig. 2. *Ubranie młodej panienki.* Suknia z lekkiego wełnianego niebieskiego materyału. Przód spódnicy układany w bufy; u dołu pięć falban, pierwsza znacznie szersza, cztery węższe. Pierwsza, druga i czwarta układane w fałdy płaskie, trzecia i piąta skośne, lekko namarszczone. Stanik wycięty w kwadrat, przybrany jest plisą z tegoż samego materyału i wązką plisowaną falbanką; z przodu zapinany na guziki. Szmizetka tiulowa biała i takież rękawy, całe układane w bufy. Kapelusz słomkowy z dużem rondem podszytem białym plisowanym tiulem, przybrany czarną aksamitką i polnemi kwiatami.

Fig. 3. *Suknia z ciemno-bronzowej wełnianej materyi;* tunika fartuszkowa i stanik z materyału przerabianego nakształt haftu. Falbany plisowane, objęte i zakończone ciemniejszą plisą. Tunika ogarnirowana takąż jak suknia falbaną. Szarfa z ciemnej repsowej wstążki. Kapelusz słomkowy, przybrany niebieską wstążką i kwiatami. Parasolik z materyi w kolorze écrue, haftowany ciemniejszym kordonkiem i przyozdobiony wielkiemi jedwabnemi tegoż koloru kwastami.

Sprostowanie.

W zeszłym N-rze 33, na str. 389, w szpalcie 3-ej, w 21 wierszu od góry, zamiast: „*chcesz że mierz bannitę,*“ czytać należy: „*chcesz że mieć bannitę?*“

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 6 (18) Августа 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Opis do N. 34.

N. 1. Kapelusz okrągły dla dziewczynek.

Kapelusik z białego bastu, ma od spodu w około rond-





N. 1. Okrągły kapelusz dla dziewczynki.

N. 3 i 10. Kapelusik dla dziewczynki.

Główka i karczek białego pikowego kapelusza wymagają owalnego kawałka, mającego 28 cent. szerokości a 35 długości, który oszyty jest trochę nafałdowanym batysto-



N. 3. Pikowy kapelusik dla dziewczynki. Patrz ryc. 10.

N. 2. Kapelusik pikowy dla chłopczyka. Patrz ryc. 9.

ka podgarnirowaną riuszę z wstążki białej, 2 1/2 cent. szerokiej. Główka otoczona jest lekko przewiniętą wstążką repsową, 6 cent. szeroką, z której z tyłu dodana jest kokarda, z długim puklem, zachodzącym jednym końcem pod spód. Sute białe pióro dopełnia z przodu przybrania.

N. 2—3 i 9—10. Dwa pikowe kapelusiki dla dzieci.

N. 2 i 9. Kapelusik dla chłopczyka.

Okrąg mający 28 cent. średnicy, założony w około w równe fałdki do 46 cent. obwodu, stanowi



N. 4. Stanik z baskiną przybrany materyjałem w kratę.

wym szlakiem, 2 cent. szerokim. Wyszycie łańcuszkiem ozdabia wierzch główki, następnie owal przefałdowywa się (z przodu na 4, z tyłu na 6 1/2 cent. od brzegów, nie licząc w to szlaczka) w 5—6 kontrafałd z przodu i tyłu, do 48 cent. obwodu główki, a boki pozostają gładkie. Na przedni garnirunek, podniesiony nakształt dyjademu, potrzeba kawałka piki 62 cent. długiego, 4 szerokiego a w końcach ściętego spiczasto i skróconego przez złożenie kontrafałdów do 27 centymetrów. Przyszycie garnirunku zasłania pikowa pliseczka, otaczająca główkę i związana z tyłu na kokardę. Od spodu główki po nad czołem dodana jest riusza tiulo-



N. 5. Stanik z baskiną i podłużnym wykrojem szyi.

główkę kapelusza. Na wierzchu główki wszyta jest rozetka batystowa, od brzegów przestębnowana paskiem dzierganych ząbków a od środka odznaczona wyszyciem z sutaszu. Rondko wysoko odwinięte, wymaga skośnego kawałka 8 cent. szerokiego, a 65 długiego, który składa się we dwoje i obszywa od góry i u dołu paskiem słomki, plecionej jak na kapelusze, następnie przyszywa się brzegiem około główki. Na riuszę otaczającą główkę, potrzeba skosu 104 cent. długiego, 5 szerokiego, oszytego z brzegów szlaczkiem i ułożonego w kontrafałdy przeszytego tak, aby 3 cent. szerokości szło do góry a 2 pozostały w dolnej połowie. Kokarda widoczna z boku na ryc. 9 wymaga kawałka piki 74 cent. długiego, a 2 szerokiego, oszytego szlaczkiem. Od spodu rondka podgarnirowana jest riusza tiulowa, zakończona koroneczką.



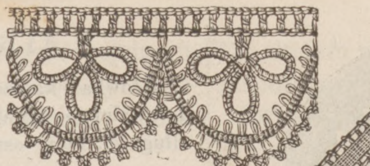
N. 6. Stanik z baskiną ozdobiony kokardami.

wa, oszyta koroneczką. Końce do wiązania są z obrąbionych kawałków batystu, 3 cent. szerokich.

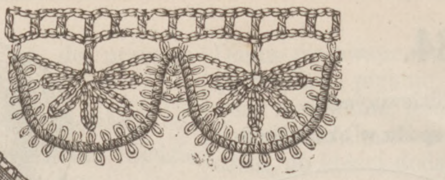
N. 4—6. Trzy staniki z baskinami.

N. 4. Stanik pod szyję przybrany materyjałem w kratę.

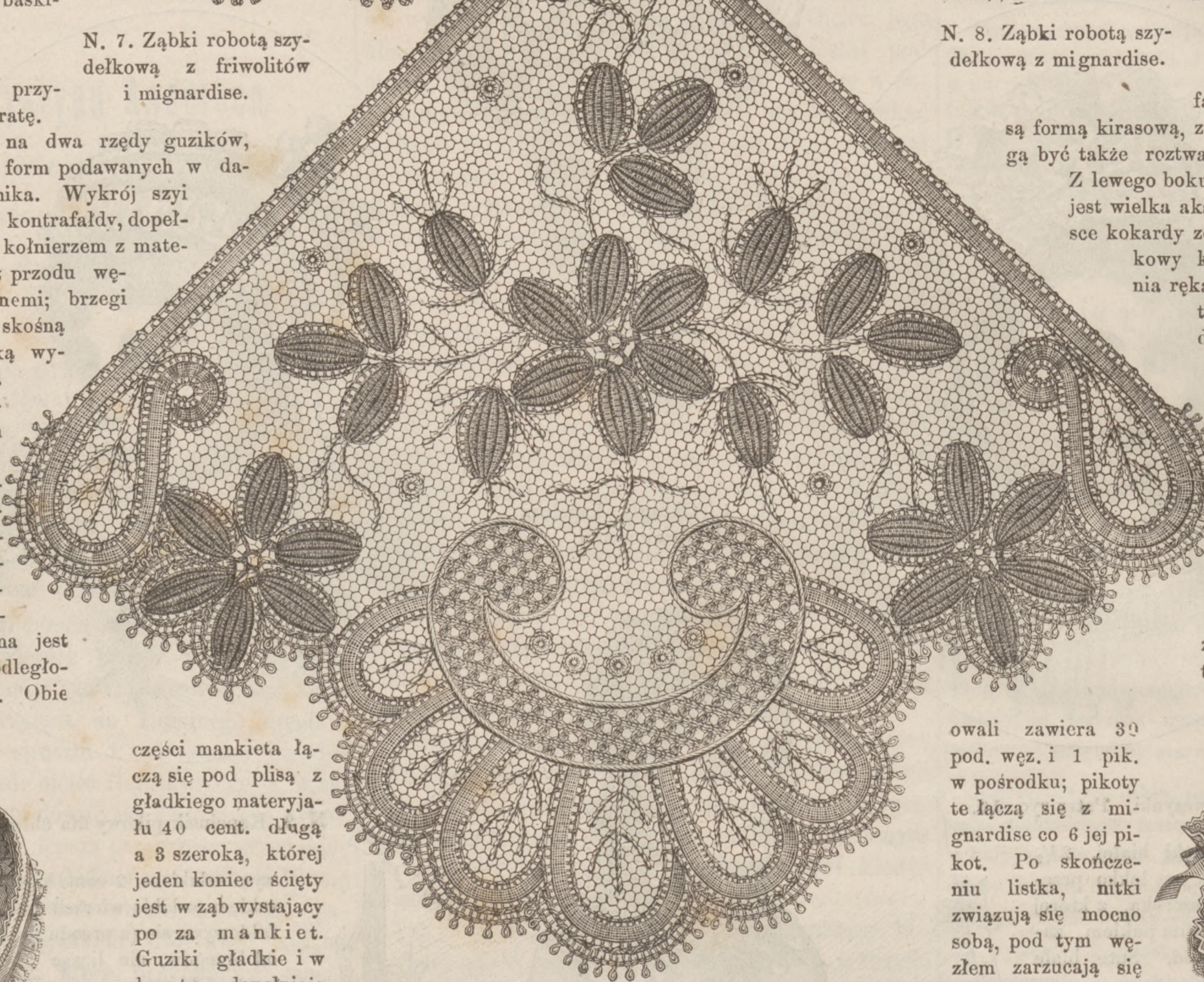
Zgrabny stanik zapięty na dwa rzędy guzików, dopasować można podług form podawanych w dawniejszych N-rach Tygodnika. Wykrój szyi podszyty ruszą ułożoną w kontrafałdy, dopełniony jest marynarskim kołnierzem z materyjału w kratę, zapiętym z przodu węzłem, z końcami spuszczonemi; brzegi kołnierzyka wszytego w skośną listewkę, objęte są gładką wypustką. Także wypustka zakończa mankiety rękawów, złożone z dwóch części, z których niższa 27 cent. szeroka jest zaokrąglona w końcu zachodzącym na wierzch. Wyższa połowa 44 cent. szeroka, podwyższona w końcach szpiczastych a w środku niżej podcięta, założona jest w fałdę na 3—4 cent. odległości od końca szpiczastego. Obie części mankieta łączą się pod plisą z gładkiego materyjału 40 cent. długą a 3 szeroką, której jeden koniec ścięty jest w ząb wystający po za mankiet. Guziki gładkie i w kratę dopełniają przybrania.



N. 7. Ząbki robotą szydełkową z friwolitów i mignardise.

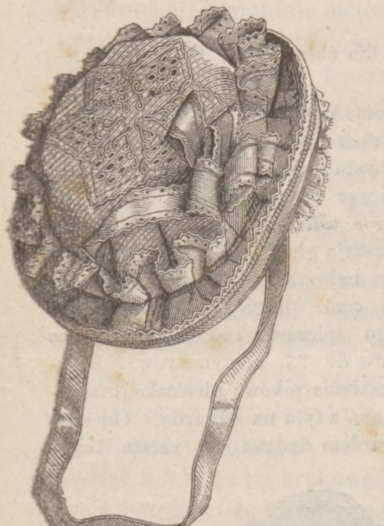


N. 8. Ząbki robotą szydełkową z mignardise.



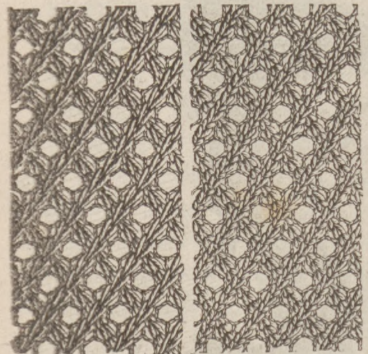
N. 11. Zakończenie do krawatki. Koronka z tasiemeczki naszytej na tiulu. Patrz ryc 12—13 i 25.

N. 5. Stanik z podłużnym wykrojem. Krój szalowego kołnierza podaliśmy w przeszłorocznych N-rach.



N. 9. Kapelusik pikowy dla chłopczyka. Przód patrz ryc. 2.

Szalowe kołnierze ciągle jeszcze utrzymują się w modzie i stanowią ładne dopełnienie eleganckiej toalety. Odpowiednio do niego dodają się przy rękawach wywijane mankiety, sięgające zaledwie za łokieć, z pod których spadają tiulowe plisowane falbany, zachodzące jedna na drugą. Drobniutko zaplisowana i ułożona w kontrafałdy riusza; dopełnia podłużnego wykroju kołnierza, zapiętego sutą kokardą z wstążki, ozdobioną gałązką kwiatów. Jeżeli suknia jest z materyi wełnianej to kołnierz mankiety i wypustki są dodane z ciemniejszego materyjału; przy jedwabnych bardzo strojnie wyglądają aksamitne.



N. 12. Spodnia i zwierzchnia strona koronkowego ściegu wyszytego na tiulu do ryc. 11. Patrz ryc. 13.



N. 14. Krawatka z aplikacyją koronki i perełek.



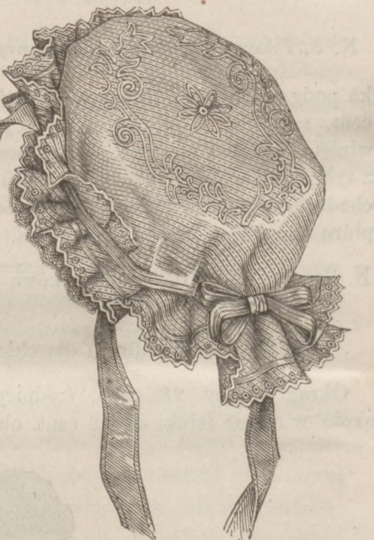
N. 15. Zakończenie do krawatki ryc. 24.

N. 6. Stanik z baskiną przybrany kokardami.

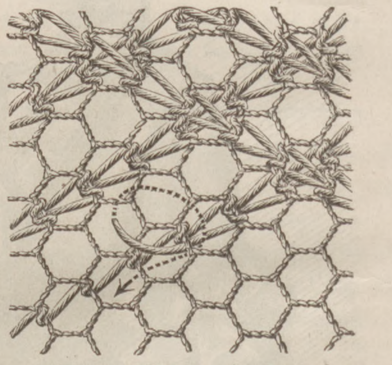
Plecy stanika zakończone są fałdowaną baskiną, przody zaś są formą kirasową, zapięte wzdłuż na guziki, mogą być także roztwarte od dołu jak na ryc. 5. Z lewego boku na brzegu baskiny, przypięta jest wielka aksamitna kokarda. Takież miejsce kokardy zdobią z przodu i z tyłu koronkowy kołnierz i dopełniają przybrania rękawów. Zwracamy uwagę na sute to przybranie złożone z podłużnych bufek, falbaneczek, skośnej plisy z kokardą i szerokiego gładkiego mankieta, spadającego do ręki.

N. 7—8. Dwa wzory ząbków z mignardise.

Rycina 7 przedstawia ząbki z mignardise, łączonej friwolitowemi listkami. Każdy z trzech owali zawiera 30 pod. węz. i 1 pik. w pośrodku; pikoty te łączą się z mignardise co 6 jej pikot. Po skończeniu listka, nitki związują się mocno sobą, pod tym węzłem zarzucają się następnie dwa sł. przedzielane łańcuszkiem i stanowiące podstawę górnego obrobienia szydełkiem. Na szydełkowe pikoty dane od dolnego brzegu plecioneczki potrzeba robić po 5 o. powietrznych. Rycina 8 załącza ząbki robotą szydełkową, nie wymagające opisu z powodu swej łatwości.



N. 10. Kapelusik pikowy dla dziewczynki. Przód patrz ryc. 3.



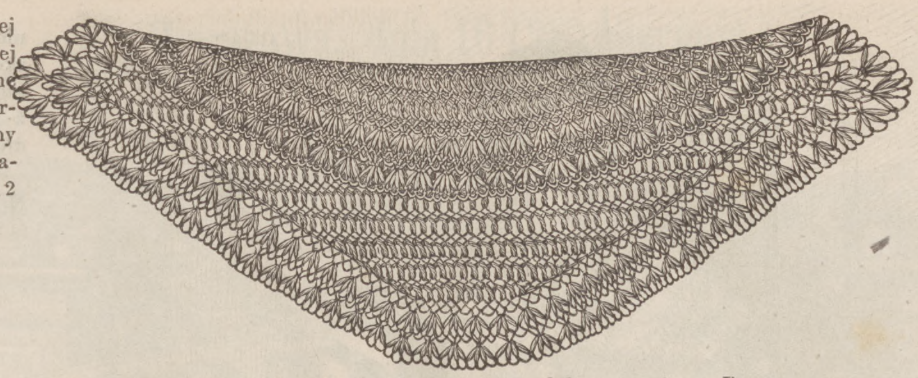
N. 13. Wykonanie koronkowego ściegu do ryc. 12.

N. 9 i 10. Opis przy ryc. 2 i 3.

N. 11—13 i 25. Krawatka z zakończeniem z koronki irlandzkiej na tle tiulowem.

Krawatka z różowej jedwabnej krepy załączona na ryc. 25 ma w końcach wszyte piękne narożniki z koronki irlandzkiej, wyszytej na tle tiulowem, tasiemeczką i ściegiem koronkowym, jak to ryc. 11 przedstawia w naturalnej wielkości. Kwiatki

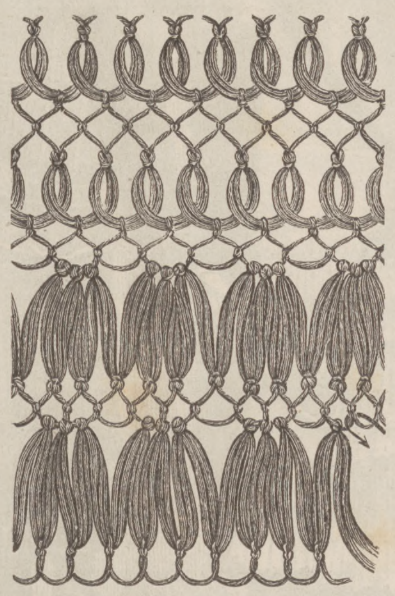
i listki dają się z tasiemeczki medalijonowej a arabeski z gładkiej; półkole w środkowej arabesce, wywiedzione na tiulu, odznaczone jest kordonkowym sznureczkiem. Ścieg kordonkowy użyty w tem półkolu wywiedziony jest na tiulu grosbotowym, sposobem wskazanym w zwiększeniu na ryc. 13. Ryc. 12



N. 16. Chustka siatkowa na głowę lub na szyję. Patrz ryc. 17.

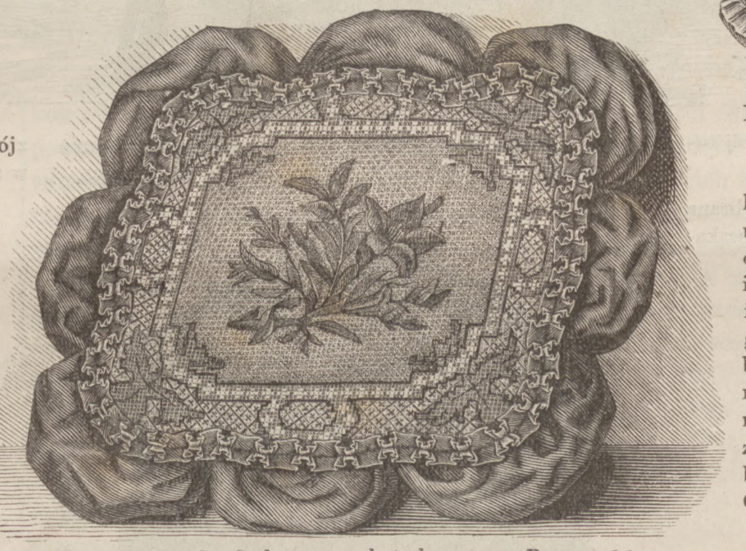


N. 18. Suknia z tuniką fartuszkową związaną z tyłu. Krój tuniki jak do ryc. 21 w N. 28.



N. 17. Tło i szlaczek siatkowy do ryc. 16.

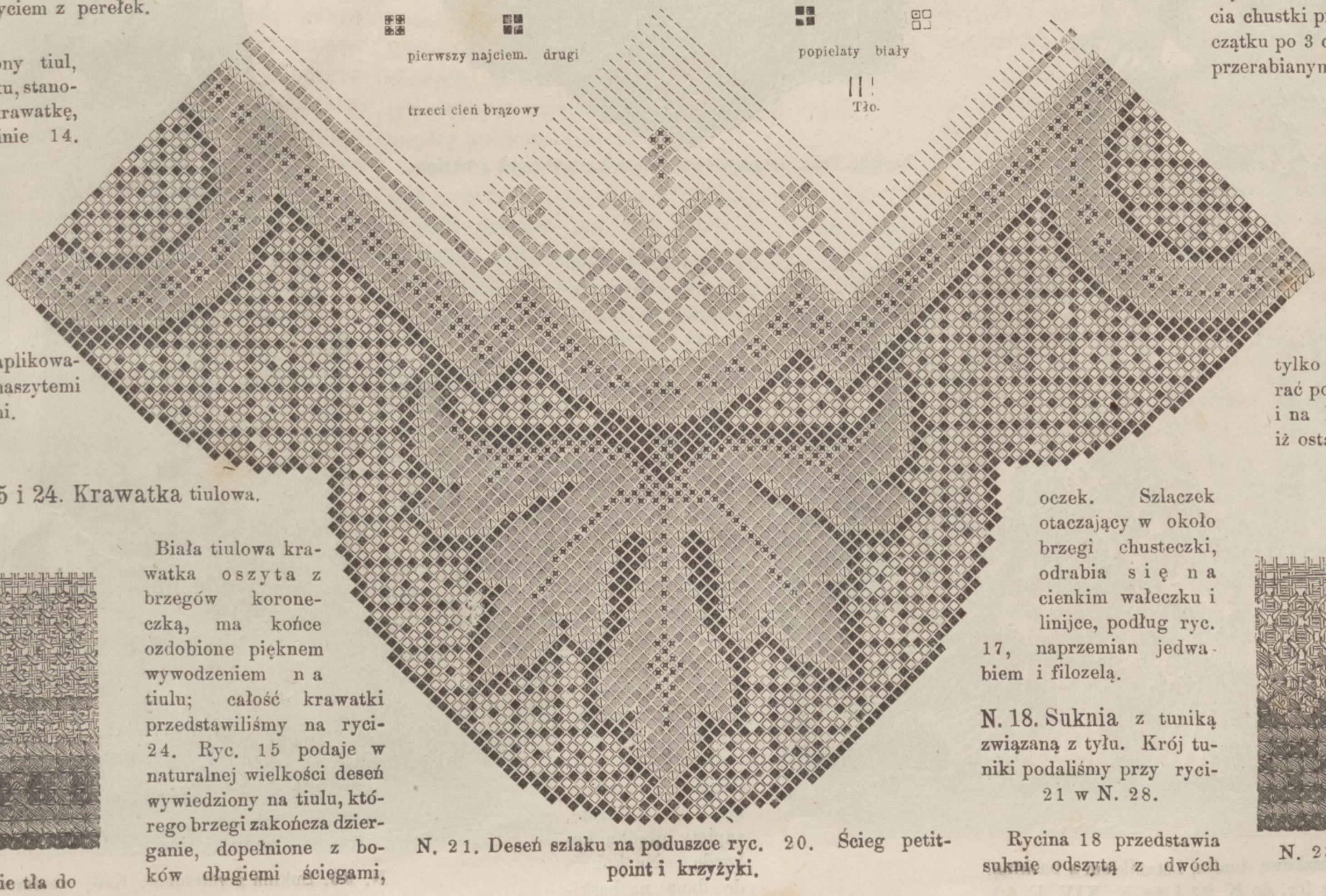
podaje dwie próbki przedstawiające zwierzchnią i spodnią stronę wywodzenia, idącego w krateczkę, krzyżującą się skośnie na tiulu. Każdy pasek kratki składa się z dwóch rzędów stębnowanego ściegu idącego w górę i na dół, podług ryc. 13. W rzędzie wywodzonym z dołu do góry, potrzeba po każdym ściegu zwracać nitkę ku prawej stronie i stębnówkę dawać po za nitką, w rzędach zaś z góry na dół nitkę zwraca się na lewo a stębnówka idzie przed nitką. Kierunek zarzucania nitki wskazuje linijka kropkowana i strzałka.



N. 28. Poduszka do kanapy, robota krzyżowa. Patrz r. 21.

N. 14. Krawatka z aplikacyją koronki i naszyciem z perełek.

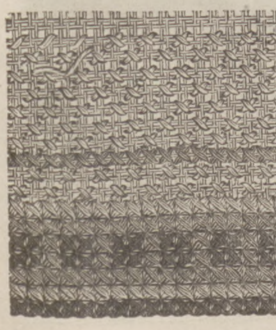
Czarny jedwabny tiul, w dobrym gatunku, stanowi materyjał na krawatkę, podaną na rycinie 14. Obrąbek $2^1/_2$ cent. szeroki przyszyty jest od góry rzędem perełek; końce ścięte w ząb ozdobione są gałązkami aplikowanemi z koronki naszytemi również perełkami.



N. 21. Deseń szlaku na poduszce ryc. 20. Ścieg petit-point i krzyżyki.

N. 15 i 24. Krawatka tiulowa.

Biała tiulowa krawatka oszyta z brzegów koroneczką, ma końce ozdobione pięknem wywodzeniem na tiulu; całość krawatki przedstawiliśmy na rycinie 24. Ryc. 15 podaje w naturalnej wielkości deseń wywiedziony na tiulu, którego brzegi zakończa dzierganie, dopełnione z boków długiemi ściegami, u dołu zaś i od góry dzierganie dane jest w ząbeczki.



N. 22. Zarabianie tła do ryc. 20.

N. 16—17. Chustka siatkowa.

Odpowiednia do zarzucenia na ramiona



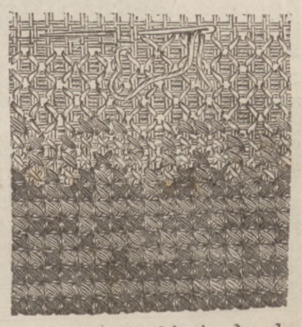
N. 19. Suknia z okrągłą tuniką i stanikiem z baskiną. Krój tuniki jak do ryc. 28 w N. 37.

lub na głowę, chustka ta może być podług gustu odrobiona z czarnego lub kolorowego jedwabiu. Rycina 17 załącza w naturalnej wielkości część tła i szlaku, odrobionych z pojedynczego jedwabiu i podwójnie wziętych nitek filozeli, koloru różowego. Różna długość oczek siatki wskazuje, iż do roboty użyto okrągłego waleczka i linijki (1 cent. szerokiej). Zaczyna się tło od tylnego prostego brzegu na 12 oczek, filozelą na linijce; w dalszym ciągu zmieniają się kolejno dwa rzędy robione jedwabiem na waleczku i jeden rząd filozeli na linijce. Odpowiednio wielkości chustki przybiera się na końcu każdego rzędu odrobionego z jedwabiu z 1 o., a oprócz tego w 10-ciu rzędach filozeli licząc od zaczęcia chustki przybiera się na początku po 3 oczka. W 11 rzędzie przerabianym filozelą, zaczynają się spiczaste, przednie rogi chusteczki, wymagające szybszego przybierania, więc w czterech następnych rzędach (licząc tylko filozelowe) przybierać potrzeba na początku i na końcu po 2 o., tak iż ostatni rząd liczy 86 oczek. Szlaczek otaczający w około brzegi chusteczki, odrabia się na cienkim waleczku i linijce, podług ryc. 17, naprzemian jedwabiem i filozelą.

N. 18. Suknia z tuniką związaną z tyłu.

Krój tuniki podaliśmy przy rycinie 21 w N. 28.

Rycina 18 przedstawia suknię odszytą z dwóch



N. 23 Zarabianie tła do ryc. 20.

cieni beżu, perkalu lub batystu, albo materyjału gładkiego i w kratę. Spódnicę zakończa wolant 20 cent. szeroki, od góry dwa razy przemarszczony w małą bufkę, idącą pod ciemnym nagłówkiem: u dołu wolantu dana ciemna marszczona falbanka, 10 cent. szeroka. Z ciemnego materyjału dodana jest brzegiem tuniki i szarf idąca plisa, 9 cent. szeroka, gładko przystębnowana, tudzież ubranie na staniku, naśladujące z przodu



N. 24. Krawatka tiulowa ozdobiona wywodzeniem. Patrz ryc. 15.

kamizelkę, a na plecach w kształcie płaskiej fałdy spuszczone aż na baskinę. Ubranie to pod szyją liczy 20 cent., w pasie 7 a u dołu baskiny znów 20—24 cent. szerokości. Obcisłe rękawy mają naszyte z ciemnego materyjału jakby trzy wykłady, zachodzące jeden na drugi, oszyte wypustką a w końcach ściętych spiczasto, przyciśnięte guzikiem.



N. 26. Ubranie dla panienki. Krój chusteczki patrz ryc. 8 w N. 27.

N. 28. Ubranie dla chłopca.

nie z tyłu potrzeba, na trzy pukle i węzeł, skośnego kawałka 150 cent. długiego a 17 szerokiego; końce ścięte skośno u dołu dodane z podwójnie wziętego materyjału 34 cent. długości a 17 szerokości.

N. 20—23. Poduszka do kanapy. Robota krzyżowa ściegiem petit-point i krzyżykami.



N. 25. Krawatka z koronką naszywaną na tiulu.

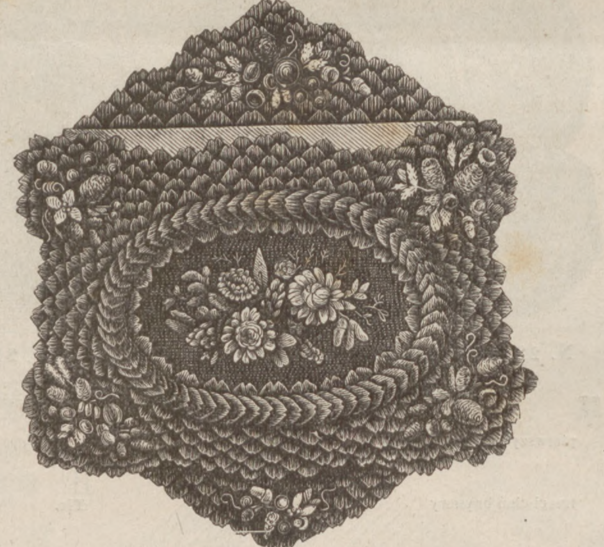
Piękny bukiet odrobiony blademi cieniami, jedwabiem, z liśćmi zielonemi i brązowemi, wspaniale odbija od tła wyszytego jedwabiem białym na cienkiej jedwabnej kanwie, podług próbek ryciny 22 i 23. Szlak brzeżny wykonany jest krzyżykami, angielską włóczką w trzech cieniach piaskowych, białą i popielatą; ryc. 21 podaje deseń szlaku z wytłomaczeniem znaków odróżniających kolory. Brzegi roboty kanwowej ogarnirowane są riuszą z wstążki 5 cent. szerokiej, boki poduszki przebufowane w zęby, są z kolorowego atłasu.

(dok. nast.)

N. 19. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Krój tuniki załączony był przy ryc. 28 w N. 28.

Suknia z beżu koloru écru, ma spódnicę przybraną trzema, po 6 1/2 cent. szerokiemi, plisowanemi falbaneczkami, po nad któremi idą trzy plisy z materyjału w kratę, 4 cent. szerokie, od góry zakończane gładkiemi wypustkami.

Okrągła tunika, z tyłu 130, z przodu 73 cent. długa, a 312 obwodu mająca, zakończona jest u dołu plisą w kratę z wypustką gładką, środkiem przodu idzie pas w kratę u góry 10 dołu 18 cent. szeroki, ozdobiony gładkiemi kokardami. Na staniku dany podłużnie otwarty kołnierz w kratę, zapięty gładką kokardą. Na kokardę daną na baski-



N. 28. Teka do papierów. Mozajka z szyszek i nasion leśnych.



N. 29. Suknia z fartuszkową tuniką i stanikiem z baskiną. Krój tuniki na ark. z for. do N. 27 i 28 N. XIV, F. 60.



N. 30. Suknia z vêtement. Krój vêtement patrz N. 25 i 26 w N. 18 Tygodnika.